PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

VII.

Urywki z dziennika księcia Marcina w więzieniu w Mągacz r. 1760 i 1761.

Dnia 1 Lipca 1760 r.

Wkrótce dwa upłynie miesiące od czasu przyjazdu mego do Mągacz, przed kilku dniaje, jest powinna za występki kara. Desperacji która i rozum i duszę zabija, chronić się trzeba, za przeszłe kryminały Boga przepraszać, a o chwalebniejszych na potém akcjach, któreby to czernidło zmazać mogły, pilnie myśleć i starać się.“

Więc nie każe mi ojciec poddawać się desperacji, kiedy z niskąd nie mogę mieć pocie-



Okrzyk: stój ! a wraz z nim wystrzał, przerwał długą rozmowę podróżnych.—(str. 72).

mi odebrałem list ojca, styl jego był surowy, ale pociecha wstąpiła do mego serca, skoro poznałem charakter ręki rodzicielskiéj na kopercie. Pisze do mnie ojciec dobrodziéj te wyrazy: „Trzeba sobie wyperswadować, że nie na krótki czas, lecz na całe życie zasłużyłeś sprawiedliwie, nigdy rodzicielskiego oblicza nie oglądać. Wtém upokorzyć się Bogu najprzód, a potém woli ojcowskiéj, mojéj, należy i wewnętrznie czuć, że co się z tobą dziechy. Wprawdzie kapelan tutejszy, ksiądz Mikus, nawiedza mię codziennie i dodaje mi otuchy, gdyby nie przytomność tego czcigodnego starca, niezawodnie oszalałbym z nudów i desperacji, bo wszyscy moi dozorcy prześladują mię nielitościwie, jakby uwzięli się na moją zgubę. Komendant fortecy, pułkownik Szmidt, jest to opasły grubjanin niemiec, policzki ma czerwone, oczy maleńkie i zazwyczaj zaspane, świecą się jednak, skoro

się rozgniewa, najcześciéj po pijanemu, bo rzadki jest dzień ażeby, po obiedzie, był trzeźwy. Drugim moim dozorcą jest porucznik hrabia de Regas, ten nawiedzał mię dawniéj, dość często, ponieważ zobowiązał się na piśmie, że zaspakajać będzie me potrzeby, ale teraz mię unika, skoro mu wyrzucałem mizerny wikt, którym mię traktuje; skarżyłem się nawet komendantowi, ale to nic nie pomaga, bo porucznik z pułkownikiem znają się doskonale, a jak mówi przysłowie: kruk krukowi oka nie wykole. Owóż pan komendant, na najsprawiedliwsze zażalenia moje, nic nie odpowiadał, albo mię ofuknął z gniewem, mówiąc: że hrabia de Regas jest najzacniejszym oficerem i za takiego jest uważany wszędzie, nawet u dworu.

Jak komendant jest tłusty, tak przeciwnie porucznik chudy jak szkielet, pierwszy jest starym kawalerem, drugi ma żonę włoszkę z mocno czarnemi oczami i oliwkową twarzą, ale ladaco, złą i brzydką; jest to bezecna intrygantka, ale posiada łaski komendanta, który częstym u niéj jest gościem. Niejaki Cigel, niemiec, awanturnik, wypędzony podobno z wojska za różne matactwa, przez protekcję pani de Regas, został inspektorem więźniów, jest to wcielony szatan i mnie szczególnie nienawidzi; podły ten człowiek rozgłosił tutaj, jakoby wiedział dokumentnie, że za zdradę ojczyzny osadzony jestem w więzieniu... Nie mam słów dla wyrażenia boleści, która rozkrwawiła me serce, skoro to bezczelne kłamstwo doszło do moich uszów.

Dnia 18 Lipca.

Dziś pisałem list długi do ojca, który w tych zakończyłem słowach:

„Już ja prawie o zgubie mojéj powątpiewać nie mogę i lepszych czasów spodziewać się nie mam, upadłszy zatem pod nogi ojcowskie i one ucałowawszy pokornie, upraszam abyś J. O. JMość Książe Dobrodziej zawczasu mi wolę swoją oznajmił i JW. panu komendantowi polecił, co ma z trupem moim czynić (jeśliby Boskiéj tak podobało się Opatrzności), abym nie był tak pogrzebiony, prawie na rozstajnych drogach, jak niedawno zmarły w areszcie Graf, który niejako jakiejkolwiek kondycji człek, ale jak ostatni żebrak pod figurą pochowany, o tę łaskę, nie dla osoby mojéj, ale dla imienia upraszam, nie dopuść J. O. JMość Książe Dobrodzieju téj ostatniéj hańby. Upraszam również, ścieląc się pod stopy ojcowskie, o zwrócenie mi honoru przynajmniéj po śmierci, gdyż tutaj rozgłosił niejaki Cigel, że chciałem bunt podnieść przeciwko ojczyźnie, a to żadną miarą nie pokazało się, ani nigdy nie pokaże się na mnie. Oblewając krwawemi łzami czcigodne nogi ojcowskie, upraszam, może po raz ostatni w życiu, o odpuszczenie grzechów.“

Dnia 28 Sierpnia.

Odebrałem dziś list od ojca, w którym mi najprzód donosi, że jednocześnie pisze do pułkownika Szmidta, ażeby złagodził srogość mego więzienia i nie dopuszczał, rozgłaszaniem kłamliwych wieści, krzywdzić mego imienia, dozwala przytem ażebym w niedzielę i dnie świąteczne wychodził na przechadzkę i stołował się na kwaterze komendanta lub porucznika de Regas, o ile to będzie się zgadzać z życzeniem tych panów. W zakończeniu tego listu pisze: „Powtarzam ci raz jeszcze, upokórz się najprzód przed Boskim, a potem przed moim wyrokiem, który jako w rękach moich jest i czynię co mi się podoba, tak gdy instynkt Boga Wszechmocnego uderzy w serce moje, a zobaczę że jesteś wiele odmieniony, nietylko powierzchownie ale z gruntu, któż wie jeśli się przebłagać nie dam i nie skrócę twego aresztu? Trzeba zatem mocno Boga prosić a starać się w nowego przyodziać człeka, czego po tobie samo urodzenie wyciąga. Desperacje, twoje są z pobudzenia złych duchów, które od siebie odrzucać należy i tylko o tem myśleć, jak się reformować na poczciwego człeka, maksymy dobrych obyczajów zaszczepiać, w końcu starać się, aby to co ze zgorszeniem było popełnione, przez cnotliwe życie zostało naprawione. Książki, futra i inne potrzeby, przez ręce JMP. posła cesarskiego, ordynowałem; zważ zatem, że ja o tobie nie zapominam, bylebyś się sam w swoich nałogach upamiętał.“

List ten nieco mię pocieszył, najprzód dla tego, że ojciec dobrodziéj, po raz pierwszy, obiecuje mi swą łaskę, powtóre, że polecił pułkownikowi Szmidtowi, więcéj po ludzku obchodzić się ze mną i nie dopuszczać, ażeby złe języki czerniły mą sławę, obietnica także przysłania mi książek, pocieszyła mię wielce, bo czytanie jest jedyną osłodą w samotności więzienia. Co do trzeciego punktu, to jest dozwolenia mi ojcowskiego, ażebym uczęszczał do mieszkania komendanta i porucznika de Regas, to wiadomość ta wcale mi pożądaną nie jest; znam bowiem dobrze charakter tych ludzi: pułkownik Szmidt, jest to zimny, obojętny na wszystko człowiek, nie myśli o niczem inném, jak tylko o swym żołądku i zaspokojeniu nieustannego pragnienia, to téż jada za kilku i wypija codziennie pół beczki dobrego wina; jest on przytem zawojowany zupełnie przez panią de Regas, która również wodzi za nos męża i w istocie ma największą władzę w całéj fortecy. Porucznik okrutnie chciwy na pieniądze, tak z wrodzonego instynktu, jakotéż dla zaopatrzenia zbytków żony, mając dość podłe sam z siebie utrzymanie, obdziera niemiłosiernie więźniów, których ma zaspakajać potrzeby; to téż żywi mię jak ostatniego żebraka i czasem przez dni kilka nie daje pokosztować wina, choć ogromne ojcu dobrodziejowi przedstawia rachunki. Ksiądz Mikus nawiedza mię jak zawsze, on jeden z pomiędzy wszystkich mieszkańców jest mi prawdziwie życzliwy...

Dnia 15 Września.

W skutku listu ojca, byłem parę razy inwi-

towany do mieszkania porucznika de Regas. Na ostatnim obiedzie był przytomny komendant i ów inspektor więźniów Cigel, który jak uważałem, jest wielkim przyjacielem pani porucznikowéj. Rozmowa przy obiedzie toczyła się najwięcéj około spraw wojowników cesarskich, w teraźniejszéj z Prusami wojnie. Pani de Regas, któréj dotychczas mało byłem znany, przypatrywała mi się pilnie, po obiedzie wzięła mię nawet za rękę i kazała usiąść obok siebie na oddzielnéj sofie, grzeczność jéj zadziwiała mię mocno, ale wiedząc jako jest złą i przewrotną, o ile mogłem ukrywałem wstręt mój, a nawet chcąc za komplement odpłacić komplementem, rozmawiałem z nią po włosku, który to język jest jéj ojczystym. Nie wiem czy ten język włoski, czy też powierzchowność moja tak ją oczarowała, dość, że przez cały wieczór pilnowała mię niemiłosiernie włoszka, nie opuszczając ani na chwilę. Pułkownik z porucznikiem zabawiali się kartami; dozorca nasz Cigel widoczne okazywał niezadowolenie, siedział zachmurzony w kącie pokoju, spoglądał z ukosa na mnie i na panią de Regas, nakoniec wyniósł się z komnaty, rzucając na mnie wzrok gniewny. W końcu wieczora pani porucznikowa zrobiła się okrutnie wymowną i takie zaczęła mi prawić komplementa, o jakich dotąd nie śniło mi się wcale; spostrzegłem po niewczasie, że za wiele rozmawiałem z nią po włosku i że ta pani, pomimo swéj brzydoty, nie daleką jest od amorów, chciałem więc wycofać się z téj haniebnéj pozycji, okazując jakobym niczego nie domyślał się wcale; ale na nic ta przezorność moja nie przydała się teraz, przy pożegnaniu bowiem, na piękne rozamorowana już włoszka, powiedziała mi: do widzenia, do jutra, mój miły książe.

Dnia 26 Września.

Gwałtownie zaczęty romans, gwałtownie się zakończył; wczoraj była ostatnia scena téj tragedji. Napastowany prawie codziennie przez włoszkę, tak ją znienawidziłem, że nie mogłem już dłużéj znieść jéj towarzystwa, zapowiedziałem więc wczoraj, po obiedzie, pani de Regas, że postanowiłem na czas długi zamknąć się w celi, mam bowiem nadesłane ciekawe książki, które mi zastąpią najprzyjemniejsze towarzystwo. Porucznikowa, od dwóch dni, była już dla mnie chłodniejszą, ale usłyszawszy z ust moich tak niespodziewaną deklarację, czerwieniła się i bladła na przemiany z gniewu, poczem rzekła z szyderczym uśmiechem:

— Dziwi mię mocno, że książe przekłada celę więzienia nad towarzystwo z osobami, które litując się nad jego losem, chciały mu osłodzić nudy samotnego życia. Niechaj i tak będzie... nie myślę naprzykrzać się więcéj W. Ks. Mości i zapraszać go do naszego stołu, kiedy czytanie książek i towarzystwo kapelana jest wystarczającém i milszém nierównie od tego, które może znaleść w moim domu.

— Wybacz pani! powiedziałem może nie jasno, nie myślałem ubliżyć jéj w niczem; owszem wdzięczny jestem za łaskawe przyjęcie w jéj domu, ale są chwile w życiu, w których czujemy potrzebę samotności... wtenczas to czytanie książek jest najmilszą zabawą. Nie dziw się pani, że w tak młodym wieku poddaję się nieraz zwątpieniu i rozpaczy, albowiem w oddaleniu od ojca, rodziny i wszystkiego co umiłowałem najwięcéj, smutno mi jest i ciężko na sercu, nawet w towarzystwie osób, którym za ich łaskawe względy winien jestem dozgonną wdzięczność.

— Nie mów mi książe o wdzięczności, bo powiem szczerze, że temu nie wierzę wcale... ulitowałam się nad nieszczęśliwym twym losem, pragnęłam poznać cię bliżéj i błagałam męża ażeby ci dozwolił odwiedzać nas codziennie, pomimo woli twego ojca, który zastrzegł wyraźnie, że tylko w dnie świąteczne możesz W. Ks. Mość wychodzić z swéj celi, do mieszkania komendanta lub porucznika. Skoro poznałam cię lepiéj, opowiadanie twych przygód, młodość twoja trawiona w samotném więzieniu, otoczyła cię w mych oczach takim urokiem, że gotowa byłam dopomagać ci w tém nieszczęściu, choćby z narażeniem własnego losu, ale dziś widzę, że pogardzasz uczuciem, które obudziłeś we mnie, jesteś niesprawiedliwy i okrutny, więc nie mów mi nic o wdzięczności, która nigdy nie powstała w twém sercu.“

Usłyszawszy tak niespodziewane i niezasłużone wyrzuty, nie odpowiedziałem nic pani de Regas, postanowiłem bowiem zerwać wszelkie stosunki z kobietą, która tak natarczywie domagała się odemnie wzajemności, chociaż Bóg mi jest świadkiem, że ani słowem, ani wejrzeniem, żadnego powodu nie dałem jéj wcale. Milczenie moje rozjątrzyło widocznie tę szaloną kobietę, więc po chwili zbliżyła się do mnie i rzekła stłumionym głosem:

— Nie wiesz może książe, że przyjaźń moja dla ciebie, stała się przyczyną złych wieści, które szarpały mą sławę, dla twéj miłości poświęciłam przyjaźń Cigla, który o osobie Waszéj Książęcéj Mości, rozgłaszał niekorzystne wieści...

— Wiem dobrze, że Cigel szarpał niegodziwie mą sławę, gdyby nie był człekiem podłym i tchórzem, rozprawiłby się ze mną za te czernidła i kłamstwa.

— Zapominasz Wasza Książęca Mość, że jesteś więźniem i że nie możesz stanąć do pojedynku.

Szyderstwo, z którém wymówiła ostatnie wyrazy pani de Regas, przeszyło mię boleśnie, więc odpowiedziałem prędko:

— Jestem więźniem, ale może znajdę kiedyś sposobność pomszczenia téj obelgi, a jeżeli Cigel nie odpowie mi na wezwanie, zabiję go jak padalca, ktory w podłéj zrodzony kondycji, kąsa szlachetnego człowieka.

To powiedziawszy, ukłoniłem się pani de

Regas i wyszedłem pośpiesznie z jéj pokoju.

Dnia 11 Października.

„Na drugi dzień, po widzeniu się i pożegnaniu z panią de Regas, miałem w mojéj więziennéj celi bardzo niemiłych gości. Wieczorem, o godzinie ósméj, kiedy po kilkogodzinném czytaniu, położyłem się do łóżka, usłyszałem nagle szczęk broni na wschodach, poczém roztworzono drzwi złoskotem. Wszedł najprzód komendant twierdzy z porucznikiem de Regas, za niemi Cigel, dozorca więźniów i straż złożona z sześciu ludzi. Komendant czerwony i zasapany zbliżył się najprzód do mego łóżka i rzekł rozkazującym głosem:

— Wstawaj książe natychmiast, bo mamy robić rewizję, lub powiedz nam, gdzie ukrywasz broń swoją?

Zadziwiony tak niespodziewaném pytaniem odrzekłem:

— Nie mam żadnéj broni i nie wiem doprawdy, kto wam mości panie pułkowniku, podał tę myśl do głowy.

— Mniejsza o to kto mię powiedział, dość, że wiem dokumentnie, że przechowujecie broń u siebie; ksiądz Mikus i wasz kamerdyner Stöker postarali się o nią, ale nie ujdzie im to bezkarnie i przed sądem wojeunym będą odpowiadać za to. Nie ma do stracenia czasu, na próżnéj rozmowie, muszę zrobić moją powinność, proszę więc Waszéj Ksiżęcéj Mości ubierać się natychmiast.

Przekonany będąc najzupełniéj o mojéj niewinności, podniosłem się z łóżka i kładłem pośpiesznie ubranie, ale nie mogąc powstrzymać oburzenia, rzekłem:

— Uwzięliście się znowu, jak widzę, dręczyć mię ciągle, ale pamiętaj, waszmość panie pułkowniku i wszyscy którzy mi krzywdę wyrządzacie, że może i dla mnie przyjdzie wybawienia chwila, a wtedy nie zapomnę odpłacić z lichwą za podłe traktowanie, którego wciąż doznaję.

Dozorcy nie zważając na mą protestację, zaczęli szukać mniemanéj broni po wszystkich kątach, przetrząsali najprzód łóżko i rzeczy, potém spostrzegłszy szparę w podłodze odbili deskę i ryli się pod podłogą jak krety w jamie. Nic nie znalazłszy po całogodzlnném szukaniu, zadecydowali jednozgodnie, że musiała zajść pomyłka w doniesieniu iże mi broń ową przechowuje kapelan lub mój kamerdyner; ale uważałem że Cigel był zły okrutnie, z powodu niefortunnego poszukiwania, więc zaglądał jeszcze do komina i proponował komendantowi, ażeby w nim jeszcze zrobić rewizję. Opasły pułkownik znużony już był widocznie, więc zaprotestował przeciwko projektowi Cigla i ruszył wraz z całym orszakiém tych nocnych puchaczów, do mieszkania kapelana.

Mój spowiednik ksiądz Mikus opowiedział mi nazajutrz, jako u niego była taż sama rewizja i u kamerdynera Stökera, ten ostatni zagrożony jest utratą służby, chociaż bowiem nic nie znaleźli u niego, równie jak i u kapelana, komendant złajał Stökera po grubijańsku, mówił że jest przekupiony przezemnie, że nie ma zaufania władzy i odprawiony będzie. Wkrótce dowiedziałem się od tegoż kapelana, że całą tę intrygę uknuła niegodziwa włoszka, żona porucznika de Regas, która na nieszczęście, wbiła sobie w głowę te szalone ku mojéj personie amory, teraz zaś, przekonawszy się o méj obojętności, postanowiła pomścić się okrutnie. Może słowa ostatniéj z nią rozmowy, w któréj odgrażałem się Ciglowi, nasunęły jéj tę myśl fatalną, jakobym broń przechowywał, może też chciała ściągnąć podejrzenie na przyjaciela mego księdza i kamerdynera, który mi jest życzliwy i wierny, dość, że ta przeklęta czarownica wyinwentowała bajkę, jakoby Stöker postarał się dla mnie o dwa miecze i dwie krucice, które oddał kapelanowi, ten zaś mnie je doręczył.

Dnia 20 Października.

Utrapienia moje nie mają końca, dozorcy mi dokuczają ciągle, od czasu owéj rewizji, nie wolno mi przestąpić progu mego więzienia. Dawno nie miałem żadnego listu od ojca, w tak mizernym będąc stanie, postanowiłem błagać o protekcję mego stryja i napisałem do niego list następujący:

Monseigneur très cher et très honoré oncle.

„Atramentem pomięszanym ze łzami piszę teraźniejszą supplikę. Zebrzę na rany ukrzyżowanego Boga, ulitowania nademną, Jaśnie Oświecony Stryju i Dobrodzieju mój! Zaiste lepiéj będzie dla osoby mojéj, dla honoru familji, jeżeli tę srogą pokutę prędzéj zakończę. Racz J. O. Książe Jmość dobrodziéj przyczynić się za mną do tego, od którego to zależy; nie o wolność tu upraszam, ale o lżejszą śmierć, miéj ulitowanie Jegomość Dobrodziéj, jeżeli nie nad ciałem, to przynajmniéj nad duszą, aby nie przyszła na jaki straszliwy koniec. Bóg widzi serce moje, że życia ukrócić nie myślę i nie chcę, ale cóż po niem, skoro siedzę w najokropniejszéj ciemnicy jak najostatniejsi ludzie, gorzéj od innych więźniów, którzy za daleko cięższe od moich, pokutują występki. Poczta dziś nagle odchodzi, więc innym czasem opiszę obszerniéj moje nieszczęścia, teraz zaś wyznaję, żem jest na krótki ostatek życia mego.

Monseigneur très cher et très honoré oncle de Votre Altesse le très humble et très obeissant neveu et serviteur.

M'J. Lubomirski.

Dnia 10 Stycznia 1761.

„Ten rok nowy zacząłem pod dobrą wróżbą, przyjechał bowiem do mnie pułkownik Wąsowicz z listem od ojca, który myśli o moich potrzebach i czyni mi nadzieję przebaczenia i ojcowskiéj łaski. Jak przekonałem się, z listu ojca dobrodzieja, nic on nie wie dotąd o krzywdach, które ci źli ludzie wyrządzają mi tutaj, widocznie komendant lub jego porucznik, prze-

jął ostatnie listy, w których szeroko opisywałem moją niedolę. Jegomość dobrodziéj, przysłał w podarunku dwa zegarki, jeden dla pułkownika Szmidta, drugi dla porucznika de Regas. JMPan pułkownik miał poleconém uczynić kontrakt z tym ostatnim, względem mego stołu, zastrzega ojciec wyraźnie, ażeby mi do stawiano codziennie wino do stołu i do wody, kawę, herbatę, cukier, masło młode, biszkopty do kawy, mleko, frukta *alias* wety, świece woskowe i t. p., słowem, wszystko co tylko należy do wygody. Nie zapomniał Jegomość dobrodziéj o żadnéj z moich potrzeb, za co tysiączne złożyłem mu dzięki, ale nie spodziewa się pono wcale, że u tych podłych ludzi nie waży nic kontrakt, choćby na świętą ewangelję był zaprzysiężony, bo nie boją się oni Bożego gniewu, ani ludzkiéj opinji, wygrałem jednak zawsze, że mam teraz obszerniejszą i wygodniejszą celę, jakoteż, że sługa mój Stöker, którego wypędzić już chcieli, przy mnie nadal pozostaje. Pułkownik Szmidt nie mogąc dać złego świadectwa o mych obyczajach, przyznał że sprawiam się przyzwoicie, ale narzekał przed pułkownikiem Wąsowiczem, że względem dozorcy więźniów, jestem zbyt hardy, a jakże inaczéj mogę postępować z człowiekiem, który nietylko na żadną nie zasługuje estymę, ale jest zbiorem podłości i wszystkiego złego.

Pułkownik Wąsowicz gościł tutaj przez dwa dni tylko i wczoraj wyjechał z powrotem. Oprócz obietnicy łaski ojcowskiéj, żadnéj innéj nie mam pociechy, modlę się więc gorąco, aby Bóg miłosierny zakołatał do ojcowskiego serca i wrócił mi jego miłość.

VIII.

Listy księcia Marcina Lubomirskiego do ojca.

Mągacz dnia 28 Marca 1761 r.

Jaśnie Oświecony Książe, sercem najukochańszy ojcze i dobrodzieju!

List J. O. Waszéj Ks. Mości dobrodzieja z ucałowaniem miljonowém, charakteru ojcowskiéj ręki, dnia 13 Marca odebrałem. Wyrażasz J. O. W. Ks. Mość dobrodziéj, że z listów moich przez pułkownika Wąsowicza i innych późniejszych, same słyszysz narzekania i żale. Jakże inaczéj być może? Któż choćby w najszczęśliwszéj sytuacji zostając, w oddaleniu od oblicza rodzicielskiego, mógł jaką słodycz znaleść, a cóż dopiero w ciasnem więzieniu osadzony i odesłany *ad terram miseriae et tenebrarum ubi umbra mortis et nullus ordo sed sempiternus horror inhabitat*, ktoby nie uznawał, choć sprawiedliwéj, przecie okrutnéj kary swéj, nie synowskie mówię, ale kamienne lub zwierzęce miałby serce, gdyby nie sarkał na tak długo trwające rozłączenie. Sprawiedliwy przed obliczem Najwyższego, Job dotknięty boleścią, w biedzie swojéj tak mówi: *Taedet animam meam vitae meae, dimittam adversum me elequium meum, loquor in amaritudine animae meae.*

Dziesiąty wprawdzie kończy się miesiąc, jak tu osadzony jestem, ale przeszło rok i niedziel kilka w Kamieńcu i Białym-Stoku strawiłem.

Za łaskawą obietnicę przysłania książek dziękuję, o prędki skutek przy ucałowaniu nóg rodzicielskich upraszam, bo dawne tak odczytywałem często, że prawie już na pamięć nauczyłem się, a pozostaje mi tylko ostatni tom: *de l'histoire du peuple de Dieu*. Proszę o przysłanie książki *sub titulo*: *Valerii Maximi dictorum facetorumque memorabilium libri novem*, która jest w bibljotece, za przysłanie dwóch kalendarzyków, przy ucałowaniu nóg rodzicielskich, jak najuniżeniéj dziękuję. Doświadczam ja na sobie J Oświecony ojcze i dobrodzieju mój, owéj, dawnego poety, maxymy: „Różny los spotyka występnych, ów ukrzyżowaniem, ten koroną, nagradzany bywa za złe czyny.“ Przywodzisz mi na pamiąć J. O. ojcze i dobrodzieju, w ostatnim swoim liście, przeszłéj młodości stan mój szczęśliwy, którego dla płochéj nieuwagi, zażyć nie umiałem, i zaprawdę godzi mi się przypomnieć starożytnego mędrca słowa: ze wszystkich przeciwności losu, największém jest nieszczęściem czuć to i pamiętać, że byłem szczęśliwy!

Padam ja do stóp rodzicielskich i żebrzę miłosierdzia mówiąc z owym ewangelicznym sługą: *patientiam habe in me et reddam tibi*; ale podobno już po niewczasie bo kara naznaczona i ja miłosierdzia nie znajdę, chyba wtenczas koniec méj nieszczęsnéj doli będzie, kiedy *spiritus meus attenuabitur, dies mei breviabuntur*, toć podobno jedyna pociecha jest, że nie zadługo dni moje skończę; lepiéj więc śmierć mi nakaż Jaśnie Oświecony Ks. ojcze i dobrodzieju mój, a tak długo męczyć mię nie dopuszczaj, okaż wrodzony ku synowi, jako ojciec i ku więźniowi, jako hojny dobroczyńca, litości dokument.

Powtarzam prośbę moją w ostatnim liście wyrażoną, abym mógł mieć dozwolone pisanie do siostry i do ciotki mojéj. Suplikuję o przepisanie i nadesłanie duetów moich na skrzypce dla zabawki i ażebym nie zapomniał muzy.

Oddaję się dalszéj ojcowskiéj opiece, łaskawości, miłosierdziu, staraniu i pamięci, wyznając żem na ten, lubo może krótki koniec życia mojego), z największym respektem, wdzięcznością rzetelną i prawdziwą Jaśnie Ośw. Ks. ojca i dobrodzieja, szczarze kochającym synem i najniegodniejszym podnóżkiem.

M'J. Lubomirski.

W więzieniu w Mągacz d. 28 Kwietnia 1761 r.

Jaśnie Oświecony Książe, sercem najukochańszy ojcze i najłaskawszy dobrodzieju!

Obawiając się opóźnić z powinności synowskiéj wypłatą, wczesne pod nogi rodzicielskie J. O. W. Ks. Mości dobrodzieja składam po-

winszowanie, na dzień Jego św Patrona, życząc, abyś za przyczyną tegoż świętego, przy najszczęśliwszych sukcessach, w najżywszych honorach, na podporę ojczyzny i znakomitości domu w jak najdłuższe żył lata. Niech mi ten twój J. O. ojcze i dobrodzieju Patron św. uprosi u Wszechmogącego Boga, abym mógł odzyskać łaskawość rodzicielską i miłosierdzie w karze; już bowiem drugi rok, za dni kilkanaście skończy się nieszczęśliwego mego więzienia, a nic mi się bynajmniéj nie poprawia, owszem coraz gorzéj. Nierównie z wygodą większą i uszanowaniem, znajdowałem się w Kamieńcu, bywali tam u mnie ludzie i przechodzących ludzi widziałem; ale tu wszystko opacznie, nikt u mnie nie bywa, same tylko drapieżne ptaki widziemy i mnóstwo wron i kawek. Przez cały czas od odjazdu pana Wąsowicza, nie byłem stopą na wolném powietrzu, dopiéro dnia wczorajszego, pierwszy raz wyszedłem, Bóg świadkiem, że ledwo na nogach dostać mogłem, to nagłe powietrza wolnego zażycie, o mało o ziemię mię nie powaliło. Wiem, że nieszczęśliwość moja J. O. ojcu i dobrodziejowi osłodzona w opisaniu, lecz mnie mocno przypieprzona i gorzka w wytrzymaniu. Zmiłuj się Jaśnie Ośw. ojcze i dobrodzieju mój nademną, abym na jaki straszliwy i niebezpieczny nie przyszedł koniec; bo tak przysłowie mówi: tonący brzytwy się chwyta i lubo rani go ostrze żelaza, przecież onegoż nie popuści, w nadziei, że go z nieszczęścia uwolni. Jużbym był może dawno tragicznym skończył sposobem, gdyby mię Opatrzność i zabawa książek nie wstrzymywała. Staw sobie przed oczy J. O. Książe dobrodziéj, kiedy na rekollekcjach kilka dni trawisz, lubo to chwalebne przedsięwzięcie i dla duszy pożyteczne, przecież radujesz się, gdy koniec téj nabożnéj odludności następuje, cóż dopiero dla nas więźniów, kiedy nikogo nie ma, ktoby nas przynajmniéj słowem pocieszył, owszem, wszyscy wołają, że żadnego nie będą mieć miłosierdzia. Dolega mi najokropniéj, że rozgłasza znów p. komendant, jakoby dowiedział się o tem dokumentnie, że ja w istocie za rokosz podniesiony przeciwko ojczyźnie, osadzony tu jestem; wiesz zaś najlepiéj ojcze mój i dobrodzieju, że do tego podłego kłamstwa żadnéj nie dałem okazji. Oprócz tych prześladowań, doświadczam jeszcze innych, z powodu mizernego stołu. Wypędzono już, dzięki Bogu, pana de Regas, ale pan komendant nie lepiéj wcale mię traktuje, od odjazdu pana Wąsowicza, o mil kilka od Tokaju, jednéj łyżki dobrego wina nie skosztowałem. Co do wiktu należy, przed kilku dniami dali sałatę, która jeden szóstak kosztowała, rozumiałem, że mi onę JP. pułkownik z gardła wyrwie, że dla niego zbyt jest droga, publicznie wrzeszczał. Porucznik de Regas, ztąd wzięty, liczne przostawił długi, za które rzeczy jego sprzedane będą, a że jest dłużen także do skarbu J. O. W. Ks. Mości, potrzebna jest wczesna dyspozycja, bo p. komendant onegoż *assecla* mocno na jego stronę jest nakłoniony. JP. komendant, za prośbą biskupa tutejszego i inszych, na tem intratném utrzymał się miejscu, lecz mu oznajmiono, że utraci go za najmniejszą skargą, która zajdzie przeciw niemu, jakoż już jest przysłany. Oberstlejtnant de Gordon, człek, jak *le déhors* pokazuje, mocno grzeczny, który aktualnym jest wice-komendantem, a za najmniejszą okazją rząd wcale odbierze. Upraszam przeto, jak o największą łaskę J. O. W. Ks. Mości dobrodzieja mego, ażebyś raczył mnie onemuż listownie zalecić. Nie podobna wyrazić, co za grubijaństwo jest w starym naszym komendancie, wszyscy uskarżają się na niego oficerowie i nieodzownie nie uniknie zasłużonéj kary. Tymczasem ten p. komendant przewodzi nademną i dręczy wszelkiemi sposobami, z rozkazu J. O. W. Ks. Mości dobrodzieja, sprawił mi zieloną suknię, ale z pakłaku, nie z sukna. Zmiłuj się na rany Ukrzyżowanego Boga J. O. ojcze i dobrodzieju mój, bo Bóg widzi, że dłużéj wytrzymać nie mogę, kołatam często do rodzicielskiego serca, abyś nie dał rachunku na strasznym, a sprawiedliwym sądzie. Głoszą tutaj i za rzecz sprawiedliwą mieć chcą, że sejm extra-ordynaryjny ma być złożony w Warszawie, a na nim ma nastąpić obranie nowego króla, wszystkie te odmiany są dla mnie podobno nieszczęśliwe. Odmawiają mi lokaja nazwiskiem Stöker, którego do usług moich zostawił p. Siemoński, chcą bowiem w oczach wszystkich uczynić mię nienawistnym i o prędszą przyprawić zgubę; żebrzę łaskawości J. O. ojca i dobrodzieja, ażebyś raczył przysłać mi jakiego wiernego i wypróbowanego sługę. bo tutaj sama tylko mizerota i hultaje. Zmiłuj się nademną Jaśnie Oświecony ojcze i dobrodzieju mój, bo niepodobna wytrzymać mi już dłużéj. Zostaję na całe życie J. O. W. Ks. Mości ojca i dobrodzieja, synem i podnóżkiem.

M'J. Lubomirski.

IX.

Kiedy Marcin oczekuje z niecierpliwością w więzieniu zlitowania ojca, książe Miecznik Koronny, znękany nawałem klęsk rozlicznych, tak prywatnych, jakoteż publicznych, widocznie upadał na siłach, chociaż duch jego jeszcze krzepki, powoływał go do życia myśli i czynu.

W ostatnich dniach miesiąca Kwietnia 1761 roku, przybył Miecznik koronny z Janowca do Warszawy, gdzie miał być wkrótce złożony sejm extra-ordynaryjny, na który z województwa Bełskiego, wybrany był posłem. Wiele chmur brzemiennych zawodami, burzą skupiło się, w tym czasie, ponad siwą głową Miecznika; surowy ojciec bolał nad losem syna, chciał go jednak przekonać, że wola rodzicielska powinna być szanowana święcie, pomimo więc

płaczu i narzekań Marcina, pomimo próśb jego przyjaciół, postanowił nie ułaskawiać go dopóty, aż wypełni jego żądanie i wyrzeknie się wszelkich stosunków z Wyleżyńską. Tymczasem książe Marcin nie mógł zadość uczynić ojcowskiéj woli, oświadczył nawet wyraźnie przez pułkownika Wąsowicza, że jeżeli jedynym warunkiem jego uwolnienia, ma być zerwanie związku ślubnego z Anną, on uprasza ojca o przyśpieszenie kary śmierci, która stokroć znośniejszą będzie od wiecznego więzienia. Ale oprócz tych rodzinnych zgryzot, miał Miecznik Koronny inne jeszcze strapienia, bo jako wierny syn kraju, przeczuwał on przyszłe klęski téj wspólnéj matki i srodze bolał nad jéj losem. Na kilka dni przed mającym się rozpocząć sejmem, dawał, książe poseł Bełski, sutą ucztę dla niektórych przyjaciół i znajomych z senatorskiego i poselskiego koła, chciał on wybadać umysły braci i popróbować, azali nie podoła nakłonić ich do zgody, w tym celu między innemi zaprosił Karwowskiego, posła Bielskiego, który znany był jako stronnik Czartoryskich i przyjaciel, a zarazem towarzysz Poniatowskiego, Stolnika Litewskiego, posła z tegoż powiatu.

W dniu rzeczonéj uczty, w obszernéj, aksamitem obitéj, komnacie Ujazdowskiego zamku, zebrali się dość licznie zaproszeni goście; panowie ci jakkolwiek do dwóch przeciwnych należeli obozów, okazywali głęboki szacunek dla księcia Miecznika, który wielką prawością charakteru i uprzejmością, podbijał serca wszystkich. W gronie gości, uważano trzech dygnitarzy koronnych: Antoniego Lubomirskiego, wojewodę Lubelskiogo, Stanisława Lubomirskiego Strażnika i Adama Małachowskiego, Krajczego koronnego, Marszałka byłego sejmu, z pomiędzy posłów byli: Karwowski, Bielski, Sosnowski, Mielnicki i Zboiński, poseł Rożański, z duchownego stanu byli przytomni dwaj księża pijarzy: Stanisław Konarski i Drużbacki.

Już zbliżał się koniec uczty, z rąk do rąk obchodziły puhary, któremi spijali kolejno zdrowie króla i dygnitarzy, w których liczbie pominęli Czartoryskiego, kanclerza W. W. ks. Litewskiego, przypadkiem czy też umyślnie, z czego niezadowolony Karwowski, podnosząc w górę puhar, zawołał:

— Wnoszę ten toast za zdrowie J. O. księcia kanclerza wielkiego, W. K. Litewskiego, sądzę bowiem, że każdy prawy szlachcic i wierny syn Rzeczypospolitéj nie mniéj jak ja, wysoko estymuje imie i zasługi tego wielkiego senatora!

Wszyscy obecni powstali i odpowiedzieli na wezwanie posła Bełskiego, ale wojewoda Lubelski nie ukrywał swéj niechęci i chociaż za przykładem innych przyłożył do ust puhar z winem, nachylając się do siedzącego obok ks. Konarskiego, rzekł półgłosem:

— Jako widzę, poseł Bielski troszczy się mocno o zdrowie księcia kanclerza Litewskiego, na którego rachuje pono wnadziei promocji dla siebie i dla syna... obawiam się, by ten troskliwy o zdrowie *familji* szlachcic, nie zechciał hałasować nam na sejmie.

— Zgadłeś J. O. książe Wojewodo! odrzekł z uśmieehem ks. Konarski, jest to wielki partyzant *familji*, przyjaciel od serca księcia Stolnika Litewskiego, nie wątpię też, że Miecznik koronny zaprosił go do tego stołu nie w innéj myśli, jeno żeby wybadać ich zamiary.

— Zdaje mi się, że oto wcale nie trudno, bo poseł pił duszkiem wszystkie zdrowia bardzo sumiennie, nawet teraz rozprawia już żarliwie z JPanem Krajczym Koronnym, który nie da mu siedzieć bezczynnie, aż wybada wszystkie tajemnice, choćby na dnie serca były ukryte.

— Znamy wprawdzie te tajemnice, a poznamy lepiej wkrótce, skoro nastąpi otwarcie izby poselskiéj, co do mnie, nie łudzę się wcale i nie spodziewam się pomyślnego dojścia teraźniejszego sejmu, robak bowiem niezgody, tak stoczył suknię, która ma być niby wolnością naszą, że jeżeli nie zrzuciemy téj staréj odzieży, niedługo, zaprawdę, dobierze się do naszego serca!

Kiedy tak rozmawiał ks. Konarski z wojewodą Lubelskim, Małachowski Krajczy Koronny, wielce już żywą prowadził dysputę z Karwowskim, posłem Bielskim, który podchmielony winem, coraz głośniéj rozprawiał i zwrócił uwagę wszystkich obecnych.

— Protestuję najsolenniéj JMPanie Krajczy Koronny, JMPan Kossecki dowiódł tym manifestem, że jest gorliwym synem ojczyzny i katolikiem; zawołał Karwowski podnosząc rękę do góry.

— A ja protestuję przeciwko zdaniu waszmości, panie pośle Bielski. JPan Kossecki zdradził najprzód swego pryncypała JW. Marszałka Nadwornego Mniszcha, w którego imieniu, wytoczył sprawę w trybunale Lubelskim, przeciwko Kanclerskiemu sądowi, potem jak Piotr, a raczéj jak Judasz, zaparł go się w tym manifeście przed światem....

— Nie ma tu porównania z Judaszem! odparł z gwałtownym poruszeniem ręki Karwowski, bo zdrajca Judasz był pyszny w swéj bezbożności aż do końca, a pan Kossecki jako gorliwy katolik, zaparł się djabelskiéj pokusy i w pokorze wyznał przed światem, że będąc chudym pachołkem, w nadziei promocji i pomnożenia szczupłéj fortuny, służył JMPanu Marszałkowi Nadwornemu i apellował w jego imieniu do trybunału Lubelskiego, przeciwko wyrokowi J. W. kanclerza W. K., ale skoro się przekonał, że prawo jest po stronie ostatniego, uderzył się w piersi i wyrzekł skruszony: *mea culpa, mea maxima culpa*!

— Widzę, że zbyt żywo bierzesz W. MPanie pośle Bielski, sprawę kanclerską do serca, mnie by to może przystało więcéj stawać w obronie krwi własnéj, boć JW. kanclerz Małachowski, jest wielkim przyjacielem moim i głową Ma-

łachowskich domu, ale nie chcę być wcale sędzią w sprawie pomiędzy nim, a JW. Marszałkiem Nadwornym, przeto ganię tylko małoduszność człowieka, który z bojaźni lub wnadziei lepszéj promocji, porzuca dawnego pryncypała, kładąc niby tę rację, jakoby przedtem nie znał należycie prawa, a toć każdy mi przyzna, że nieuk taki, nie powinien był rwać się do apelacji, przeciwko dekretom assesorji koronnéj. Powtarzam więc raz jeszcze, że autor listu *sub ignoto nomine*, ma rację skoro powstaje przeciwko manifestowi JPana Kosseckiego, Starosty Mrozowickiego.

— Autor listu *sub ignoto nomine*, Mości panie Krajczy Koronny, jest istny Judasz, bo chce poniżyć władzę kanclerską, która w tych utrapionych czasach jest jedyną tarczą naszéj szlacheckiéj wolności. Ale jak widzę, coraz mniéj w naszych szeregach liczymy już obrońców, kiedy nawet jegomość, pan Krajczy Koronny, Marszałek sejmów, tak wielkie sypie pochwały autorowi listu, który, nie ledwie bym nie ręczył, że jest tą samą personą, która *skoncypowała* niegodziwą książkę o skutecznym rad sposobie, albo utrzymywaniu ordynaryjnych sejmów!...

— Jestem tym, którym byłem zawsze, a nie wdaję się w żadne cenzury listów lub książek, nie sypię więc pochwał autorowi listu, mości panie pośle Bielski, ale protestuję tylko przeciwko manifestowi, a raczéj podłości starosty Mrozowickiego. Co zaś do sposobu utrzymywania ordynaryjnych sejmów, ten wiem tylko jeden, który nie uwłacza w niczem naszéj szlacheckiéj wolności, to jest by nasi panowie bracia i szlachta dla miłości Boga i téj Rzeczypospolitéj, wyrzekli się wszelkiéj djabelskiéj pokusy i nakłonili do jednomyślności głosów, bez któréj runie ta ojczyzna a z nią i *libertas* miła zaginąć też musi.

— A ja wnoszę, podchwycił poważnie Antoni Lubomirski, Wojewoda Lubelski, że jeżeli autorem rzeczonego listu, jest ten sam który wydał książkę o utrzymywaniu ordynaryjnych sejmów, wtedy śmiało ręczyć można, że w liście tym muszą mądre znajdować się przestrogi, bo ów nieznany nasz statysta, wykłada nam różne w Rzeczachpospolitych rządów sposoby i przekonywa jasno, że *unanimitas* nasza czczem jest tylko słowem i że nigdy jéj nie osiągniemy, jeżeli nie obmyślemy innego sposobu obrad, mianowicie *per pluralitem.*



W końcu wieczora pani porucznikowa zrobiła się okrutnie wymowną i takie zaczęła prawić mi komplementa, o jakich dotąd nie śniło mi się wcale.—(str. 83).

— Co słyszę? zawołał zapyrzony Karwowski. Jaśnie Oświecony Książe, mądry senator Rzeczypospolitéj, znany z wysokich sentymentów i wielkiego imienia, pochwala tak przewrotne i nie przyzwoite dzieło, jakim jest książka o skutecznym rad sposobie, czyli utrzymywaniu sejmów.

— Tak jest, pochwalam i najzupełniéj aprobuję, odrzekł poważnie Wojewoda.

— I ja też podzielam zdanie J. O. ks. Wojewody, dorzucił gospodarz domu, ks. Miecznik koronny.

— A ja powiadam z przeproszeniem Jaśnie Oświeconych, wielce miłościwych panów, że ta książka jest pełna zgnilizny i jadu, bo toczy jedyny korzeń Rzeczypospolitéj, najdroż-

szy klejnot wolności, z którego zepsuciem ojczyzna też nasza, niby stare drzewo, koniecznie runąć musi. Autor zatwardziały w swéj przewrotności, doradza, aby sejmy *per pluralitatem* stawały, aby na sejmach nie słuchać nie mądrego posła głosu, aby żaden szlachcic sejmu ani sejmiku zerwać nie mógł i inne tym podobne i gorsze myśli, które dążą najsprośniéj do obalenia złotéj wolności, a przygotowania niewoli, na którą nawet instynkt zwierzęcy się wzdryga, boć każdemu przecie stworzeniu miło, kiedy sobie swobodnie brzęczy!...

— Zanadto i zadługo pono brzęczemy, podchwycił z uśmiechem ksiądz Konarski, o którem wielu z pomiędzy szlachty nie wiedziało jeszcze, że jest autorem rzeczonéj książki, może to brzęczenie podoba się komu, ale naród cierpi na tem, kiedy jedna brzęcząca osa używa swobody dokuczania wszystkim.

Po tych słowach ks. Konarskiego, nastało ogólne milczenie, ale po chwili tenże więcéj ożywionym głosem dodał:

— Czas już wielki, ażebyśmy zrzucili z naszych karków to jarzmo, które napróżno złotą nazywamy wolnością, mądry ojciec rodziny nie dozwoli nigdy, aby jedno z jego dzieci igrało ze szkodą wszystkich, a my, my mówię, jako naród, dozwalamy każdemu ze szlachty, o ile mu się spodoba wichrzyć powagę obrad i gwałcić postanowienia ogółu!...

— O! księże pijarze dobrodzieju, zawołał z oburzeniem Karwowski i z wymierzoną ku niemu ręką dodał: toż to te są przewrotne maksymy, które podaje autor owéj książki, a przez nie gotuje szlachcie niewolnicze pęta. Każdy powtarzający, lub aprobujący podobne zdania, jest *proditor patriae* i za takowego, w imieniu wszystkiéj braci szlachty, go ogłaszam.

— Hola! mości panie pośle Bielski, uwłaczas waszmość duchownemu stanowi, zawołał książe Miecznik Koronny; ksiądz pijar Konarski jest wielki mój przyjaciel i dobrze się zasłużył krajowi.

— Owszem, dałem dowody, że szanuję stan duchowny, równie jak senatorski, bo słuchałem dotąd cierpliwie przykrych uwag, wycelowanych na naszą szlachecką skórę, które wyszły dopiero z ust J. O. księcia Wojewody i księdza pijara Konarskiego, ale protestuję i wiecznie protestować będę, przeciwko téj książce, jakoteż przeciwko wszelkim zamachom na wolność naszą, któréj bronić będę na sejmach i wszędzie, choćby mi przyszło życie na szwank wystawić.

— Dobrze, że chcesz WPan, JMPanie pośle Bielski, bronić wolności, która dla każdego syna Rzeczypospolitéj, drogą być powinna, ale jako stary Marszałek sejmu, ośmielam się przełożyć me zdanie. że kiedy ojczyzna zostaje *in expectatione vitae vel interitus*, każdy z jéj wiernych synów powinien nakłaniać się do zgody, aby można było z pożytkiem Rzeczypospolitéj ważne na sejmach przeprowadzić uchwały.

— Podzielam najzupełniéj wysokie sentymenta waszmości, panie Krajczy koronny, ale sejm zwołany nieprawnie, nie może rokować jednomyślności, bez któréj żadna zbawienna nie zapadnie uchwała, odrzekł Stanisław Lubomirski, Strażnik koronny.

— Spodziewam się, że sejm obecny zwołany został prawnie, poprzedziły go bowiem sejmiki, na których *legitime* wybrani posłowie mają moc zupełną obradowania nad potrzebami Rzeczypospolitéj, które żadnéj nie cierpią zwłoki.

— Protestuję mości panie Krajczy Koronny przeciwko téj sentencji, sejm ten został zwołany bezprawnie, ponieważ nie poprzedziło go *senatus consilium.*

— Owszem, senatorowie pozostający przy boku króla, mieli walną naradę, na któréj uchwalono zwołanie sejmu.

— Nie wątpię, żc nie tajno jest waszmości, panie Krajczy Koronny, że narada prywatna senatorów, w prywatném mieszkaniu Marszałka, nie ma żadnego znaczenia, przeto wracam się do pierwszego argumentu, że sejm ten nie jest prawnie zwołany.

— A ja nie spodziewałem się wcale, odrzekł z żywością Adam Małachowski; że wasza książęca mość, wysoki dygnitarz koronny, przed rozpoczęciem jeszcze sejmu, stawiać będziesz argumenta, mogące szkodzić ogólnéj sprawie i wpłynąć na zawichrzenie obrad, kiedy obowiązkiem jest każdego z nas, zachęcać braci do zgody i wieść *od unanimitatem.*

Karwowski poseł Bielski, siedział zachmurzony słuchając uważnie rzeczonéj rozmowy; książęta Lubomirscy, Wojewoda Lubelski i Miecznik W. koronny, potwierdzili zdanie Krajczego koronnego, ale Sosnowski, poseł Mielnicki, przyjaciel Karwowskiego, odezwał się w te słowa:

— Słyszę, że o jednomyślności jest mowa, szanuję powagę sejmu i widzę zwołania jego potrzebę, ale nie taję również, że król jegomość, a raczéj minister jego saski, zanadto przywłaszcza sobie władzę, z wielkim uszczerbkiem praw tego kraju, więc aprobuję zdanie J. O. księcia Strażnika W. koronnego i wnoszę, że bez rady senatu *legitime* złożonéj, nie może król zwoływać sejmu.

— Widzę już jasno, rzekł smutnie pochylając głowę książe Miecznik Koronny, że waszmość miłościwi panowie i bracia wynajdujecie znów różne pozory zawichrzenia obrad, ze szkodą sprawy publicznéj.

— Jeżeli roztrząsanie prawa i powstawanie przeciwko przywłaszczeniu władzy, ma być nazwane grzechem, do tego występku przyzna-

ję się szczerze i powtarzam z jednym statystą: *si noceo, quod recte sentio, fateor sine fine nocebo.*

— A ja powtarzam waszmości, odrzekł poważnie Miecznik Koronny, że złém i niesprawiedliwém jest zdanie, które szkodzić może ogólnéj sprawie, a jako przysiągł z nas każdy na chrzcie świętym, że wyrzeknie się czarta i wszelkich spraw jego, tak baczyć na to powinien ażeby unikać pokusy, która serce pomięsza i głowę, a wielkie już zaprawdę tam pomięszanie, wielka pycha i upór, skoro rozum obywatela nie jest w zgodzie z myślą publicznego dobra.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SICILIANO.

(z włoskiego).

Nie płacz ma droga, nie płacz ma złota,
Wszystko tak spiesznie przemija tu—
Boleść i szczęście, miłość, tęsknota,
Podobne tylko do marzeń snu!
Lecz ich pamiątka, lecz ich wspomnienie,
Rozrzewnia duszę jak harfy brzmienie,
Rozrzewnia serce jak dźwięk przeczysty,
Przywiany w oddal z ziemi ojczystéj!

* * *

Wiem ja co rozkosz, żale, nadzieje,
I memu oku nie obce łzy,
Ale czas wszystko jak mgłę rozwieje,
Bo to są tylko żywota sny!
Lecz takie miłe są ich wspomnienia,
Jak kwiatów maju wonne westchnienia,
Jak szczebiot ptasząt kiedy wracają
Do gajów, w których swe gniazda mają.

* * *

O! gdzież te czasy, kiedy przy tobie
Ku niebu spojrzał mych uczuć kwiat?!
Ich pamięć spocznie wraz ze mną w grobie,
W lepszy je duchów poniosę świat.
O! to najsłodsze, tęskne wspomnienie,
Czaruje serce, niesie natchnienie,
Czaruje myśli szczęścia urokiem,
Jak ty urzekasz swém czarném okiem.

* * *

Tu twój ogródek, altana twoja,
I pośród trawy szemrzący zdrój;
Tum ci wyszeptał: „ty jesteś moja!“
Tuś mi wyrzekła: „tyś wiecznie mój!“
O! straconego raju wspomnienie,
Czyste jak małych dzieci marzenie,
Czyste jak wody samotne zdroju,
W którym się kąpią kwiaty powoju!

* * *

Bądź-że mi zdrową — na zawsze zdrową,
Może powrócę... a może nie...
Cień mój przypłynie w noc księżycową,
Widzieć mnie będziesz w spokojnym śnie.
Strumień korali na piersi mojéj,
Skropisz strumieniem czystéj łzy swojéj,
A blask téj perły z krasą koralu,
Przewyższy wszytkie blaski opalu!

* * *

I duchy nasze jak dwa widzenia,
Spłyną ku grobom minionych lat,
Przypomnim sobie młode marzenia,
I cichy szczęścia naszego świat.
Tułacze serca — zgasłe pamiątki,
Szczątki wesela, rozkoszy szczątki,
Znów się pojawią duchom zaklętym,
W błogie pamiątek czary ujętym...

* * *

Módl się jedyna! los tych nie łamie,
Co w cnocie kładą nadzieję swą,
Co wzrok unoszą ku niebios bramie,
Z szczerem westchnieniem i z szczerą łzą

Adam Chodyński.

JAKIE MIEJSCE ZAJMUJE CZŁOWIEK W SZEREGU ISTOT STWORZONYCH.

L'homme matériel est sans doute un animal, mais c'est un animal transfiguré, et, si l'on peut ainsi parler, changé en symbole.

Gratiolet.

Od dawna toczy się walka, na polu nauk przyrodzonych, mająca rozstrzygnąć pytanie: jakie miejsce naznaczyć człowiekowi w szeregu organizmów żyjących? Jedni uważają go za zwierzę i przypisują wszystkie władze jego umysłu wyrobowi materji, drudzy chcą widzieć ducha niepodległego zboczeniom, jakby przeznaczonego do życia tylko nadziemskiego, pogardzają więc materją, morzą ciało, bo to właśnie przeszkadza rozwojowi ducha, który ma wyobrażać ideał stworzenia.

Kompromis, między tak krańcowemi opinjami, nie podobny, a pojęcia te, dla tego, że są krańcowe, fałszują, że tak powiem, naturę człowieka, bo się nań zapatrują nie z błędnego, ale zanadto wyłącznego stanowiska. Tak, powiadamy, nie z błędnego, bo fizjologji za mrzonkę brać nie można, a ona jednak uważa człowieka za źwierzę; ani też psychologji traktującéj o duchowéj jego naturze, również za urojenie uważać niepodobna, lecz przyznać trzeba, że ani jedna, ani druga nie traktuje o całym człowieku; potrzeba zatem wyszukać innéj nauki przyrodniczéj, któraby nam go wystawiła we właściwém świetle, dała nam poznać jego duszę, ciało, i stosunek ich wzajemny do siebie, boć to dopiero jest człowiek, taki jakim go Stwórca mieć chciał, ani zwierzę, ani duch! Takiego człowieka przedstawia nam antropologja, jéj więc zadaniem jest: dać dokładne o nim wyobrażenie, ale dla osiągnięcia tego celu, musi się ona wesprzeć na dwóch podstawowych naukach, fizjologji i psychologji, jakby na węgielnych kamieniach wchodzących do budowy jéj gmachu.

Zobaczmy zatem, co powiada o człowieku fizjologja. Nauka ta badając jego cielesny organizm, wyrzeka, że się składa z tych samych elementów, co organizm innych zwierząt, zalicza zatem człowieka do ich rzędu. Ale nie wystarczy powiedzieć, że człowiek jest zwierzęciem, bez dalszego objaśnienia, należy bowiem wiedzieć jakiego gatunku jest to zwierzę i w jakim rzędzie pomieścić go należy? Karmi się mlekiem, a więc jest ssącym i do rzędu zwierząt ssących zaliczonym być winien, lecz w dalszym ciągu fizjologja objaśnia, że do ruchów swych dwóch tylko używa członków, nie jest więc dwuręcznem zwierzęciem i dla tego Lineusz do rzędu dwuręcznych go zaliczywszy, na czele małp postawił. Dał mu więc za towarzyszów orangutanga, mandryla i szympansa. Huxléy, utrzymuje, że człowiek mniéj się różni od orangutanga i szympansa, aniżeli te ostatnie różnią się od małp zamieszkujących środkową Amerykę. W oczach jego wielkie małpy szympansy, które w lasach widział, były ludźmi dziko żyjącymi; podobnemi zdaniami napełnione są opisy podróży admirała Hannon i jego towarzyszy.

Czy ci uczeni byli w zupełnym błędzie, czy opinje swe opierali na fantastycznych porównaniach, jakie im wyobraźnia przyniosła? Bynajmniéj! spostrzeżenia ich były trafne, chociaż jednostronne i dopóty uważane były za prawdy naukowe, dopóki postęp fizjologji i anatomji, nie dostarczył danych dla utworzenia sobie nieco odmiennego o tym przedmiocie pojęcia.

Rozbierzmy zatem to, co te nauki o człowieku mówią: skielet człowieka jest zupełnie podobny do skieletu małpy, różnić się może od niego foremnością kształtów, ale treść jest jednostajną; liczba kręgów jednostajna, przyczepienie żeber, skład miednicy, kończyny, nareszcie ilość kości głowy i ich wzajemne ułożenie, niczem, w istocie rzeczy, nie różnią człowieka od małpy, to podobieństwo zachodzi również w trzewiach, naczyniach krwionośnych, organach zmysłów i w zębach. Co do układu nerwowego i budowy mózgu, długie i dokładne poszukiwania wykazały, że i tu nie napotykamy różnicy i po walce oddawna na tém polu toczonéj, przyznać jesteśmy zmuszeni, że człowiek podobny jest do małpy i do żadnego innego nie zbliża się zwierzęcia, tylko do niéj jednéj; tak dalece, że gdybyśmy kiedykolwiek pokusili się o klassyfikowanie źwierząt według rozwoju mózgu, musielibyśmy wskrzesić podział Lineusza i człowieka do jednego z małpami zaliczyć rzędu!

Lecz aby dojść do prawdy w naukach ścisłych, do których w obecnym wieku anatomja z fizjologją należą, potrzeba spojrzeć na dany przedmiot z wszelkiego możliwego stanowiska; w tym więc wypadku gdy chodzi o wyrzeczenie zdania, czy anatomja porównawcza uważa człowieka za źwierzę, czy też wykrywa w nim pewne właściwości, których w żadném zwierzęciu nie napotyka, porównywać trzeba nie tylko dojrzałego człowieka z dojrzałemi zwierzętami, ale je badać należy od chwili najpierwszego zaczątka ich istnienia, aż do ostatniéj chwili rozwoju.

Praca to lat całych, i nie mam zamiaru ani przebiegać historycznie dokonanych w téj mierze poszukiwań, ani się wdawać w obszerne wywody; kilka szczegółów wystarczy do dania treściwego obrazu, co wykryły nauki przyrodzone w swych studjach nad człowiekiem

i jakie mu, według nich, stanowisko w szeregu jestestw naznaczyć należy.

Pomijam kształty i budowę organów służących do zaspokojenia czynności wszystkim jestestwom wspólnych, przebiegnę tylko pokrótce te, za pomocą których władze umysłu komunikują się ze światem zewnętrznym, bo od doskonałości ich budowy, od ich wzajemnego do siebie stosunku, zależy wysokość i że tak powiemy, szlachetność organizmu.

Organami takiemi są: mózg, mlecz kręgowy i ich części dodatkowe. Obserwacje pokazują, że tak człowiek jak i zwierzęta, po zniweczeniu tych organów, tracą pojęcie o otaczającym świecie, żadne wrażenie nie jest w stanie dojść do ich świadomości. Tym więc sposobem idioci, kreteni i ludzie lub zwierzęta te dotknię obrażeniami pomienionych organów, nie słyszą, nie widzą, nie mówią, nie odbierają wrażeń woni, ani dotyku, nie są zdolni objawiać swéj woli, bądź dla tego, że pojęcia nie tworzą się w ich umyśle, bądź też dla braku organów przeznaczonych do wprowadzenia powziętéj myśli w wykonanie. Z tego powodu te organa uważamy za najgłówniejsze cechy, doskonałości jestestwa.

U wszystkich zwierząt kręgowych, a zatem i u ssących, nerwy wychodzą ze wspólnego pnia, który się mleczem kręgowym zowie; ten biegnie w kolumnie kręgowéj, ku górze, aby wejść do czaszki, gdzie objętość jego się zwiększa, przez przybranie jeszcze czterech mass nerwowych; móżdzku, wzgórków wzrokowych, wzgórków czworaczych, ciałek prążkowanych i pół kuli mózgu. Każda z tych mass nerwowych posiada właściwą sobie czynność: jedne pośredniczą zbieraniu się pojęć, (półkule mózgowe), drugie do równowagi ruchów pomagają (móżdżek), inne przewodniczą ruchom automatycznym, niezmiernie ważnym podczas zajęcia uwagi jakimś przedmiotem, a koniecznością wykonywania jednocześnie ruchów, nakoniec pozostałe massy nerwowe służą do pośredniczenia zmysłom.

We wszystkich gatunkach zwierząt stojących w rozwoju niżéj od małp, mózg się przedłuża w tył czaszki, przykrywa pomienione massy nerwowe, ale pozostawia odkrytym móżdżek; u nich półkule mózgowe są małe, lecz za to inne części zawarte w czaszce są stosunkowo mocno rozwinięte. Zwierzęta te zatem, nie odznaczają się tak wysoką pojętnością jak małpy.

U małp półkule mózgu przedłużają się tak dalece, że pokrywają móżdżek i wszystkie dodatkowe części, massa półkul mózgowych jest znacznie większą od wszystkich razem wziętych mass mózgowych, które wymieniliśmy powyżéj. Podobna organizacja mózgu, łatwa do sprawdzenia, stawia małpy wyżéj nad wszystkie zwierzęta.

Te słów kilka wystarczy dla dania ogólnego obrazu o organach, w których się mieszczą najszlachetniejsze władze; — czynność zmysłów, pojęcia i wola.

Zobaczmy teraz jak te organa zbudowane są u człowieka. Mózg różni się znakomicie od mózgów wszystkich zwierząt kręgowych, ale nie różni się niczem od budowy mózgu małp i pod tym względem fizjologja, opierając się na dokładnych danych, dostarczanych jéj przez anatomję porównawczą, ma prawo wyrzec, że człowiek jest zwierzęciem i musi stanąć w jednym rzędzie z orangutangiem, szympansem i mandrylem.

Ale mylilibyśmy się bardzo, gdybyśmy to zdanie za ostatnie słowo nauki przyjęli; pozostaje jeszcze jedna jéj gałęź, w któréj dla ostatecznego sądu o przedmiocie naszym, musimy szukać wskazówek. Tą gałęzią fizjologji jest *historja rozwoju jestestw* organicznych (embriologia). Zobaczmy co w niéj pod tym względem znajdujemy?

Wstąpiwszy w jéj dziedzinę i postawiwszy sobie pytanie, czy człowiek w budowie swego organizmu, nie różni się od małpy? przychodzi na myśl prawo natury, od którego nie ma wyjątku, a prawo to brzmi jak następuje: „organizmy podobne *rozwijają* się zawsze w jednakowy sposób, albowiem początek rozwoju danego szeregu zwierząt, jest w prostym stosunku do rozwoju pierwiastkowego w jednéj i téj saméj familji.“ Otóż z tego prawa wynika, że jeśli pomiędzy mózgiem człowieka i małpy, nie zachodzi żadna różnica, wówczas mózg małpy i człowieka, rozwijać się powinny w jednakowy sposób.

Historja rozwoju wykazuje nam wielką różnicę co do rozwoju mózgu małpy i człowieka.

Tak tedy, mózg dojrzałego człowieka, niczem się nie różni, jakeśmy powiedzieli, od mózgu małpy, ale w rozwoju tych organów zachodzi tak wyraźna różnica, że tych stworzeń w jednym szeregu postawić nie można.

I tak: skręty mózgowe u małp, rozwijają się wprzódy na podstawie czaszki, a następnie na jéj powierzchni górnéj, kiedy ich rozwój w mózgu człowieka, odbywa się w odwrotnym porządku, ztąd wypada: że organa zmysłów, powonienia, wzroku i t. d, wprzódy się rozwijają u małpy, kiedy w mózgu człowieka rozwój części jego pośredniczącéj intelligencji, na przeważném stoi miejscu. Podobnie postępuje wzrost organów aż do dojrzałości, a z tego wynika, że mózg człowieczy podobny pozornie do mózgu małpy, nie jest mózgiem tego zwierzęcia, zatem człowiek posiada organ pośredniczący intelligencji, który go od wszystkich zwierząt wyróżnia i do żadnego wspólnego z nimi szeregu zaliczyć nie pozwala! Oto czego nas uczy fizjologja porównawcza.

Ale nie na tém się kończy różnica człowieka od małpy, a różnice pozornie żadne, tak są w istocie rzeczy wybitne, że pominąć ich milczeniem się nie godzi.

Ręka małpy posiada pięć palców, jak ręka człowieka, ale czyż to jest ręka człowiecza? nie

zaiste, jest to tylko *hak przewodniczy*, podpora; palec wielki tak osadzony, że mu brak téj swobody ruchów, jaką widzimy wręce człowieka, palec mały jest jeszcze mniéj ruchliwy. Paznogcie zakończające palce, są krótkie, wązkie, niezmiernie silne, ale nie foremne; są to więc tylko szpony. Bo też ręka małpy, ma inny cel niż ręka człowieka; ona przeznaczona do podpory zwierzęciu, do chwytania się drzewa, posiada siłę niesłychaną, ale to nie ręka człowieka, wolna jak myśl jego i gotowa, każdéj chwili, wykonać rozkaz wolnéj woli.

Postawa człowieka różni go znacznie od małpy; w tym względzie naturaliści długi czas błądzili, sądzili oni, że małpy zaliczyć można do zwierząt dwurecznych; gdyby to było prawdą, posiadaćby powinny dwie ręce i dwie nogi: jak człowiek; wówczas musiałyby zachowywać postawę prostą, według osi ciała. Tymczasem już Cuvier wykazał, że to jest błędem, małpy posiadają cztery ręce, a wcale nóg nie mają; cztery powiadamy ręce, bo mają członki zakończone pięcioma palcami, z których palec wielki przeciwległy jest czterem pozostałym, kiedy w nodze przeciwnie, wszystkie palce są mocno do siebie zbliżone i leżą na jednéj płaszczyznie.

Małpy chodzą na czterech swych rękach, tak jak zwierzęta czworonożne, człowiek przeciwnie chodzi prostopadle do poziomu, t. j. w pozycji pionowéj. Małpy mogą przybierać pozycję pionową, lecz ona dla nich nie jest najdogodniejszą i dla tego mogą zachowywać ją tylko przez czas bardzo krótki, albo używać niezbędnie podpory. Sam jeden tylko człowiek, może bez wysilenia, bez przerwy, zachowywać pozycję pionową, z głową wzniesioną ku niebu, mierząc okiem szeroki horyzont; pozycja w któréj się wspiera na czterech członkach, jest dlań nie właściwą, wymuszoną i nigdy jéj podczas przenoszenia się z jednego miejsca na drugie, nie używa.

Tak więc fizjologja przyznała ostatecznie człowiekowi wyższość nad źwierzętami i organizm jego umieściła ponad wszystkiemi jestestwami

Zobaczmy teraz co nam psychologja o jego drugiéj połowie powiada?

Intelligencją, mówi ona, różni się człowiek od wszystkich źwierząt i do żadnego z niemi rzędu zaliczonym być nie może; lecz przeciwnicy tego sądu, przytaczają pojętność małp, zręczność psów, zabiegliwość pszczół, wzniosłe przymioty lwa, zmysł architektoniczny bobrów; prawda! bobry stawiają na rzekach domy, doskonałością swą zadziwiające, ptaki lepią gniazda, małpy zachwycają zręcznością, ale nie zapominajmy że te gniazda, te domy i ule, rok rocznie, są jedne i te same i od stworzenia świata do XIX wieku, nie ma w nich śladu postępu. W postępie leży różnica między pojętnością zwierzęcia i inteligencją człowieka! I źwierzę i człowiek, posiadają jednostajne organa, służące do poczucia danego pojęcia o przedmiocie jakimś lub uczuciu, przykrém, albo przyjemném, lecz zwierzę nie jest zdolne użytkować ze swych pojęć, nie jest w stanie *wyprowadzać wniosków*, *wydawać sądu*, a od tych właśnie czynności umysłu, zależy postęp i cywilizacja.

Tak więc ze stanowiska antropologji uważając człowieka, musimy przyznać iż nie jest zwierzęciem, albowiem fizjologja przekonywa, że organizm jego nie jest podobnym do organizmu żadnego z nich; a psychologja wyraźnie oddziela umysł ludzki od pojętności zwierząt i oparta na nich autropologja, ponad wszystkiemi źwierzętami, stanowisko człowiekowi naznacza.

Człowiek zatem zakończa szereg istot stworzonych i sprawdza to, co o nim księgi rodzaju (Genesis) wyrzekły: „Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje.“

Dr. Dobieszewski.

AUTO-BIOGRAFJA
MICHAŁA GRABOWSKIEGO.

Wyjątek z własnego listu dat: 26 Października r. 1840 z Aleksandrówki.

Zamieszczamy tu własnoręczny list Michała Grabowskiego, udzielony nam łaskawie, przez jednego ze współczesnych mu literatów. List ten uważać można za materjał, nie małéj literackiéj wartości.

Urodziłem się dnia 25 Września 1804 roku, w gub. Wołyńskiéj pod Równem, we wsi Złotijewie dziedzicznéj mego macierzystego dziada, Jana Dworzańskiego Wojskiego Inflantskiego. Rodzicami memi byli: Antoni Grabowski, Major wojsk Ross. Kawaler orderu Śtéj Anny 2éj klassy ś. Włodzimierza 4éj i innych Ojciec, który odumarł 1819 roku i Teresa z Dworzańskich matka, dziś żyjąca. Rodzina moja pochodzi

z Poznańskiego, skąd dopiero pod koniec 18 wieku, dziad mój tak jak i ja Michał Grabowski pierwszy przeniósł się na Ukrainę. Od trzeciego roku mego życia, zamieszkałem w miejscu, w którem i teraz piszę, w majątku naszym dziedzicznym, miasteczku Aleksandrówce, o cztery mile od Smiły i cztery od Czehryna. Pierwsze wychowanie wziąłem w domu rodziców albo raczéj w wiejskim pensjonie, dla mnie i kilku dzieci z sąsiedztwa urządzonym w naszym miasteczku Aleksandrówce i oddanym pod dozór francnzkiego emigranta barona Forget i trzech innych nauczycieli do muzyki, rysunku i polskiego języka. W jedynastym roku, oddano mnie do konwiktu Księży Jezuitów w Romanowie a stamtąd, przy zdarzonéj jakiejś przeszkodzie, nie mogąc odwieść do Odessy. umieszczono, tymczasowo, w szkole powiatowéj Humańskiéj. Te jednak półtora roku, które tam przypadkowie spędziłem, wpłynęły stanowczo na całą moją przyszłość i na obranie zawodu nauk i literatury. Tam się bowiem zaprzyjaźniłem ze spółuczniami memi, Sewerynem Goszczyńskim i Józefem (Bohdanem) Zaleskim, powziąłem od nich upodobanie w literaturze i poezji i tak jak za Jezuitów, w dziecinnéj mojéj duszy tkwiło ciągle żądanie zostać świętym, tak od szkół Humańskich zajmowowała mnie zawsze, to jawnie, to potajemnie, nadzieja zostać pisarzem i autorem. Szkoła Humańska, pod zarządem zdolnego człowieka, Prefekta, księdza Skibowskiego, była wtedy w latach najwyższego swego kwitnienia, co dowodziła nie tylko znaczna liczba uczniów, ale więcéj jeszcze wyszli z pomiędzy nich, jednocześnie prawie, bardzo znakomici ludzie, jako to wiadomy naturalista Krynicki, doktorowie Gałęzowski i Mianowski, Helenista Jeżowski, poeci Zalewski i Goszczyński. Panował w téj szkole gust do nauk, młodzieńczy zapał, ochota, zamiłowanie języka i literatury polskiéj. Z Zaleskim i kilku kolegami utrzymywaliśmy nie tylko *Dziennik wileński* i *Pamiętnik warszawski*, ale na wzór tych pism postanowiliśmy, nas dwóch i trzeci Goszczyński, składać w rodzaj dziennika nasze własne prace, co nawet po oddaleniu się moim z Humania jakiś czas trwało. Przy listach od tych dwóch przyjaciół, odbierałem ten pamiętnik przepisany na czysto i dotąd posiadam go kilka numerów. Najdojrzalsze płody wydają się teraz Goszczyńskiego, chociaż od Zaleskiego był on rokiem młodszy i zostawał razem ze mną w klassie czwartéj, kiedy ten już był w piątéj, a w piątéj pierszoletniéj, kiedy ten w drugoletniéj. Zaleskiego także wiersze pod względem języka i poprawności, dziśby nawet nie mogły uledz najmniejszéj zmianie. Owa świetność dykcji, którą (jak mu przyznawał Mochnacki) celuje nawet nad klassykami, już znamionuje i te młodzieńcze jego płody, a w mojéj biblotece posiadam pod tym względem ciekawy pomnik, to jest egzemplarz Szymanowskiego, którego gładkie wiersze gładził jeszcze Bohdan, mianowicie odmieniając wyrazy cudzoziemskiego pochodzenia i kładąc „budowa“ gdzie Szymanowski rzekł „struktura“ i podobnie—mówię więc że te wiersze Zaleskiego są zupełnie bez wad, przypominając tylko sobie, jak późniéj stworzył on całkiem oryginalny, całkiem nowy duchem i kształtami rodzaj poezji, poznaje się, że tamte są jeszcze zlepkiem dziecinnéj ręki. A jednak i w téj powłoce gąsienicy znać już w części motyla, który ma się ztąd wyrodzić, jest tam jakby odgłos tonu, jakby odcień barw późniéjszéj poezji Bohdana, i przypominając teraz sobie wrażenie, które na mnie wtedy robiły, zdaje mi się że przeczuwałem tę świeżą i cudowną sztukę, która tu była w zawiązku. Ze wstydem, ale bez żadnego udania wyznaję, że moja część w dzienniku była najsłabsza, najdziecinniejsza; były to, lub wiersze bez myśli, lub prozą tłumaczenia z przygodnich książek. Z Humania przeniesiony byłem do Odeskiego Ryszelewskiego Lyceum, zawiadywanego wtedy przez dyrektora L'abbé'go Nicole; utrzymywałem jednak wciąż stosunki z memi spółuczniami i tęskniłem do połączenia się z niemi w Warszawie, dokąd udać się zamierzali. Stało się tak, dopiero w Lipcu 1820 roku.

Przysłany do Warszawy, polecony byłem opiece, wiadomego fizyka, Jana Karola Skrodzkiego Proffesora, dziekana, a późniéj (1831 r.) rektora Uniwersytetu Warszawskiego, lecz kiedy ten, dla zajętego miejsca, nie mógł mnie pomieścić w swojem mieszkaniu, stanęłem osobno, a takim sposobem, w szesnastym roku życia, zostałem panem własnéj woli, śród wielkiego miasta bez niczyjego oka i nadzoru. Jeżeli co zawarowało moją tak wczesną młodość od niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju, to tylko silnie, w równie wczesnym wieku, rozwinięte już we mnie zamiłowanie nauk i literatury. Nie zapisując się w Album uczniów, chodziłem na prelekcje wydziału administracyjnego, lecz szczególniéj z chciwością poświęciłem się czytaniu książek, które lub znajdywałem w dnie otwartéj públicznéj Uniwersyteckiéj Biblioteki. lub brałem ztamtąd do domu, za poręczeniem profesora Skrodzkiego, albo nabywałem za własne pieniądze, większą część naznaczonych na moje utrzymanie, na to wykładając. Zresztą byłem zawsze w ścisłych stosunkach z Goszczyńskim i Zaleskim; z których pierwszy po rocznym pobycie opuścił Warszawę, drugi zaś opuszczony od rodziny, nie odbierając żadnéj pomocy od bogatych krewnych w Ukrainie, wiódł poniewoli życie prawdziwego pustelnika, w nawpół pustym wtedy pałacu Izydora Krasińskiego. W téj to jednak samotności i prawie nędzy gienialny młodzieniec wykształcał coraz wyraźniéj swój własny rodzaj poezji, dumę historyczną i ukraińską, o jakowéj nikt nie wiedział, w ówczesnéj literaturze polskiéj. Pisał on poezje bardzo nieliczne, ale za to każda była owiana natchnieniem. Z dumą myślę,

że byłem pierwszym a może jedynym wtedy, powiernikiem tych poezji. Zostały na zawsze, w żywéj u mnie pamięci, te odwiedziny moje do pałacu za Żelazną Bramą, godziny spędzane sam na sam w głuchéj izdebce Bohdana. przechadzki z nim o mroku, po pustéj wtedy téj części miasta. Wtedy to zapoznałem się z temi wzruszeniami, które istotnie gienjalne utwory sztuki budzą, co to pierś napełniają uczuciem, myśl w nowy świat unoszą, są jakby wielkiem wypadkiem w życiu. Rzecz szczególna! zrosłem w Ukrainie, znałem ją całą od Irpieniu do morza, a jednak zdaje mi się dotąd że z tego to zakąta Warszawy ujrzałem dopiero nieznany mi kraj Zaporoża, poetyczną Ukrainę z jéj rycerzami, mogiłami i pieśniami. Odsłaniało mi się to wszystko za dumani Bohdana. Wtedy to ogłosił on swój rapsod rycerski w Pamiętniku Warszawskim, co mu zjednało znajomość Kazimierza Brodzińskiego. Zresztą rapsod rycerski zrobił wrażenie, stał się przedmiotem rozmów między literatami warszawskiemi; w istocie nowy to się okres zaczynał.

W 1822 umieszczony zostałem w Komissji Rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego, jako adjunkt honorowy przy Dyrekcji jeneralnéj wyznań. Prace wszakże biurowe wydały mi się niewdzięczne i pospolite, a zawód mało przedstawiający widoków, szczególniéj że przy wrodzonéj niecierpliwośoi a zarozumiałości młodzieńczéj, nie myślałem o zapewnieniu ich sobie przez pracę i wytrwałość. Pomiędzy członkami Komissji Oświecenia było, naturalnie. wiele znamienitości literackich spółczesnych; dwaj nawet moi bezpośredni naczelnicy, to jest: zastępcy dyrektora jeneralnego, byli jeden po drugim, dwaj literaci, hrabia Jan Tarnowski i Józef Lipiński; obaj jednak ci urzędnicy, żadnéj na mnie zwracali uwagi, ja zaś sam zbyt w duchu byłem pyszny, ażebym starał się zwrócić ją na siebie, nie wiele już ceniąc autora wątłéj literacko-historycznéj rozprawy i tłumacza klassycznego sielanek łacińskich, którego przesadzona wziętość, zaczęła przy nowych wyobrażeniach bardzo upadać. Wkrótce więc zniechęcony i nieczując się tu na mojem miejscu, (chociaż dzisiaj wcale tego nie chwalę), zacząłem coraz rzadziéj uczęszczać do mego biura, a daléj zupełnie w nim bywać przestałem, tak dalece, że przy braniu uwolnienia w 1825 roku, sekretarz Ilny Rakiety, uparł się koniecznie wytrącić z méj służby 3 kwartały, w jakowym odejmowaniu, wyznać muszę, rządził się jeszcze wielką dla mnie względnością. Zaniedbując takim sposobem całkiem moje biurowe zatrudnienia, oddałem się wyłącznie literaturze i życiu z młodzieżą literacką mojego wieku. Mieszkałem z kolegą Janem Krechnowieckim, tuż obok poczty, nad samą sławną kawiarnią Brzezińskiéj, u nas to bywały najliczniejsze schadzki młodzieży akademickiéj i trudniącej się literaturą. Tu bywał Ignacy Humnicki, którego tragedją *Żółkiewski pod Cecorą*, mierny bardzo płód pseudoklassyczny, spotkał prawdziwy tryumf na scenie warszawskiéj; Franciszek Grzymała, redaktor wtenczas Astrei, Zaleski, ile razy przyjeżdżał ze wsi (znajdował się wtedy bowiem w Łęczyckiem) wielu innych i wszyscy przybywający z Ukrainy. Ilekroć zwrócę myślą, między towarzyszy tych lat mojéj młodości, widzę zawsze przed sobą szczupłego młodzieńca z bladą twarzą, z długiemi na w pół na czole przedzielonemi włosami, w kolistym hiszpańskim płaszczu i karbowanéj krezie zamiast kołnierza. Jest to Paulin Rydzewski, który się pod swojemi poezjami, po ulotnych tego czasu pisemkach umieszczonemi, Paulinem z Rydzewa podpisywał, którego ciągłym marzeniem było dostać się do Włoch, gdzie wtedy tułał się Bajron i być melancholicznego lorda sługą, giermkiem, duchem tajemniczym i nieodstępnym czemśkolwiek. Z téj próbki można wziąść miarę, jak płoche i dziecinne myśli wrzały w naszéj drużynie i w jaki szał wprawiały nas splecone poezje, twórcy Lary i Child Harolda. Niedawno przypominał mi przyjaciel z téj epoki, który po 17 latach niewidzenia odszukał mnie w głębi Ukraiuy, żem się w tym czasie nigdy spać nie kładł bez tomiku poezji Bajrona. Co bądź to pewna, (com nawet w inném miéjscu powiedział), że w naszym to kole, w chwili pierwszego nieprzyjaznego podziwu Warszawy nad poezjami Mićkiewicza, poezje te spotkały otwartych stronników i czcicieli. Pamiętam przyjemność, któréj doświadczyliśmy odebrawszy dwa cienkie poszyty nadesłane z Wilna, z których w pierwszym była Świtezianka, w drugim wyborne tłomaczenie, dzikiego strzelca przez Odyńca. Mićkiewicz i Odyniec były odtąd imiona, w każdéj chwili nam przytomne. Wzniósł jeszcze nasz zapał, wkrótce wyszły tomik poezji pierwszego, a drugi doprowadził go do najwyższego stopnia, bo wtrąceni zostaliśmy we wszystkie ekstazje platonicznéj miłości i poetycznéj tęsknoty. Te poezje Mickiewicza, dumy Zaleskiego, tłomaczenie cudowne Sienkiewicza Pani Jeziora, które wszyscy umieliśmy na pamięć, marzenia (a teraz godzi się powiedzieć przeczucie) o narodowéj poezji w przyszłości, były żywiołami nowego zupełnie przekonania literackiego, które śród zupełnie przeciwnéj jemu powszechności, w obec wspaniałych jeszcze klassykow, pod gromem słów miodnych a cierpkich Osińskiego, nosiliśmy w zanadrzu a które jednak niebawem cała Polska przyjęła i polubiła. Te nowe wyobrażenia wyrabialiśmy sobie śród wzajemnego udzielania uczuć i myśli, śród rozpraw nie znpełnie próżnych prawdy i grnntu, ile nam takowych trzymać się pozwalał zapał i bujanie głów młodych. Pamiętam że kilkakroć zachodził do naszéj poetycznéj akademji Franciszek Dmochowski, chcąc sobie utworzyć pół środkowe zdanie między romantycznością a klassycznością, lecz którego wtedy, z niebacznością krwi ży-

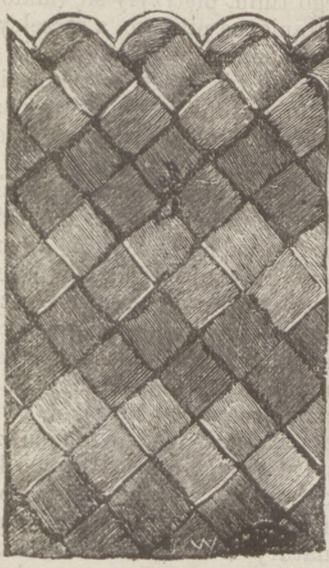
wéj, posądziliśmy za niezdolnego nigdy uczuć prawdziwą poezję. Jedyną moją literacką pracą z téj epoki i pierwszą, którą w życiu drukowałem, była recenzja ballad Witwickiego. Młody ten także wtedy pisarz, ogłosił te naśladowania ballad Mickiewicza, które ja jako naśladowanie, (oprócz jednéj zdami się pod tytułem *pan i sługa*) potępiłem, a rzekł późniéj, w Pamiętniku Krakowskim nieznajomy mi autor, że Witwicki krytyce mojéj słuszność przyznał i ballady swoje z handlu cofnął, co jednak w tę porę wiadomém mi nie było, a przeciwnie ostre mojego zdania nagany, w Dzienniku Warszawskim, czytałem.

W końcu 1825 roku wróciłem z Warszawy do domu. Niektóre rysy mego życia, w tym czasie na Ukrainie, skreśliłem we wstępie *Koliszczyzny* i *Stepów*, zresztą więcéj nierównie niż w domu, mieszkałem u przyjaciela Krechowieckiego w Leszczynówce pod Humaniem. Z nim razem odszukaliśmy Goszczyńskiego, który po rocznym tylko pobycie opuściwszy Warszawę, tułał się, śród różnych przygód, po Ukrainie i w takowem życiu, bez książek, bez towarzystwa odpowiedniego, przestając z samemi myśliwcami, ze szlachtą okoliczną, zdziczał nieco i dopiero znajdując znowu u nas dużo książek, powrócił do dawnych upodobań literackich i przekształcał się widocznie. Ten perjod mego życia, składający się z czterech do pięciu lat, był zupełnie odrębny i zostawił mi po sobie dziwnie miłe wspomnienia. Przepędziłem go samotniéj niż kiedykolwiek, bo w trzy tylko osób, bez żadnych stosunków z obywatelstwem ukraińskiem, trybem życia zupełnie odmiennym niż wiodą je w téj prowincji i który dla nas zostawał prawie nieznajomym, bo żyliśmy w naszéj osobnéj sferze uczuć i wyobrażeń. Kiedy byliśmy w Leszczynówce, staliśmy obadwa z Goszczyńskim a często i wszyscy trzéj w altanie na końcu ogrodu, śród brzoz i zarośli leszczyny, w miejscu zresztą raczéj smutnem niż malownem. Tam pędziliśmy dnie, na czytaniu, pisaniu a więcéj jeszcze rozmowie, któréj przy ściśléj przyjaźni nas łączącéj, zgodności sposobu myślenia i owéj młodości umysłu, któren wszędzie jeszcze nowe niedotknione przedmioty widzenia odkrywa, nigdy nam nie brakło. Wszystkie nasze wyobrażenia, czasem miały jeszcze być wyprobowane a doświadczenie z żadnego z nich nie zdarło ułudy i uroku. Dlatego nic już w późniejszém życiu, młodzieńczych tak poufałych, tak niewyczerpanych, tak słodkich rozmów przyjacielskich, nie zastąpi. Goszczyński pisał codzień i czytał nam nowe poezje, które też w naszéj samotui były istotniejszym odświeżeniem naszych myśli, niżbyśmy go w czemkolwiek inném znaleść mogli. Spieszę jednak powiedzieć dla chluby mojéj dziecinnéj siedziby, że większą część *Kaniowskiego Zamku* pisał Goszczyński w Aleksandrówce; tu przeczytał nam część pierwszą, tu pisał całą część trzecią, tak malowną i dla mnie nawet nie jest tajemnicą, które widoki mojéj okolicy po przenosił w swoje obrazy. Zresztą zapisuję dla pamiątki, żeśmy nawet dla saméj treści tego poematu, odbywali wspólną pielgrzymkę do Kaniowa i nad Dniepr. Nakoniec z Aleksandrówki wysłaliśmy ten poemat do druku, na ręce przyjaciela Chrząszczewskiego.

Szczegóły jednak wyżéj przytoczone, odnoszą się tylko do czasu w którym byłem na Ukrainie, bo nie zostawałem tu ciągle; co rok wyjeżdżałem to do gub. Wołyńskiéj, to do Galicyi, do Warszawy, a w 1828 roku, razem z Goszczyńskim, przez Kraków do Wiednia. Okolice tego miasta i Badenu zwiedzaliśmy pieszo. W chwilach pobytu na Ukrainie, pisałem poezje. niektóre z nich pod nazwą *melodji Ukraińskich* ogłosiłem, pisałem też urywki literackie i krytyczne, lecz może najważniejszą moją pracą, z tego czasu, była korespondencja z literatami rossyjskiemi. Zawiązała się z następnego powodu: w dzienniku wychodzącym w Moskwie pod nazwaniem: *Telegrafa Moskiewskiego*, odzywano się zawsze bardzo przychylnie o literaturze polskiéj a mianowicie o Mickiewiczu. Chcąc się przyczynić do zaznajomienia lepszego publiczności Rossyjskiéj, z płodami naszych pisarzy, posłałem Panu Polewemu, redaktorowi *Telegrafa*, Marją Malczewskiego i zamek Kaniowski. Marja miała już być tłomaczona na jezyk Rossyjski przez jednego z naczelnych ich poetów, podobno przez Kozłowa, w tym samym czasie ukazał się w *Telegrafie* artykuł o literaturze polskiéj, oparty na datach poczerpniętych z pisma *o krytykach i recenzentach warszawskich*, a więc napastujący literaturę polską klassyczną i wystawiający ją wszyderczem świetle. Zdało mi się to rzeczą niesprawiedliwą. Artykuł Mickiewicza uważałem zawsze za wyborny pocisk polemiki, ale nie można go wcale było uważać za dokument historyczny, bezstronny i rzetelny. Z tego względu, mógł on być niebezpieczny a kiedy niebezpieczeństwo okazywało się na dziele, sądziłem że należy mu ile możności zapobiedz.

(*Dokończenie nastąpi*).

Dodatek do Zeszytu VI Kółka Domowego.





Dywaniki plecione.

Udzielamy naszym czytelniczkom sposób roboty splotów sukiennych, w dwóch odmiennych kolorach; te sploty mogą być użyte na wązkie dywaniki przez pokój, a nawet na szersze, przy łóżku i pod nogi. Sukno które użyć chcesz, powinno być pokrajane na skrajki, dubeltowo, we dwóch kolorach, szersze, jak na naszym wzorze po prawéj stronie. Sposób plecenia masz także na tym samym wzorze, jest on stroną lewą, zaś całość i strona prawa jest wzór drugi. Kiedy masz przygotowaną skrajkę, złóż ją przez pół długości tak, żeby obydwa końce wiszące były równe, złóż teraz skrajkę jak oczko lub pętlicę i przez to oczko lub pętlicę, przeciągnij drugą wiszącą skrajkę, tym sposobem każde przeplatanie przygotuje ci nowe oczko czyli pętlicę, do dalszego plecenia. Uważaj dobrze sposób wkładania skrajki, żeby tworzyła pętlicę, bo masz to wyraźnie wskazane na splocie jaśniejszym na naszym wzorze. Kiedy tak będziesz miała w całéj długości splot jeden, przyrabiaj do niego splot w drugim kolorze; sposób łączenia masz wyraźnie oznaczony, a strzała ci wskazuje jak masz przepleść skrajkę w pętlicę przygotowaną, (pamiętaj o tem, że pleciesz lewą stroną,), a odwrotna prawa uwydatni ci się jak wzór drugi.

O UBIORACH.

Paryż, d. 2 Marca 1866 r.

Karnawał daleko już uleciał od nas na skrzydłach z koronek i gazy zostawiając tylko wspomnienia, któremi z wami dziś się podzielić zamyślam, w nadziei że zajmą czytelniczki Kółka, wskazując im nie nowe w prawdzie, lecz *wznowione* przepisy mody, oraz dziwaczne jéj ekscentryczności. I tak n. p. wysłano ztąd dla pewnéj włoskiéj damy, balowy strój

(kostiumowy) przedstawiający, zgadujcie co? zaręczam że to niepodobna, więc z góry powiedzieć wolę;—oto nic innego tylko *lodowate morze*. Tak, lodowate morze, ożywione nadto jeszcze mieszkańcami swemi. Na podwójnéj, szerokiéj spódnicy z błękitnego i białego tiulu, piętrzyły się (malowane) góry lodowe, pomiędzy któremi drzemało drapieżne ptastwo, a strzelcy uwijali się ścigając białe niedźwiedzie. Obie spódnice powłóczystością swoją tworzyły błękitno białawe fale, po nad któremi z jednego boku unosiło się blade słońce. U dołu spodniéj, atłasowéj, białéj spódnicy, szeroki pas szronu tworzyła srebrzysta materja, przetykana puchem łabędzim, niby śniegiem. Stanik biały, atłasowy, zdobił również puch i kryształowe sople lodu. Włosy pokryte szronem (pudrem), podtrzymywała puchowa opaska i kryształowe łańcuchy. Przyznajcie że trudno cóś oryginalniejszego wymyśléć! Do odwiecznych *nowości*, należą obecnie stroje w rodzaju greckim, rzymskim lub egipskim. Można sobie łatwo wyobrazić, jak obszerne pole przedstawia się, pięknym paniom, do przeróżnych na tém tle wymysłów. Widziałam suknię jedwabną, bronzową, podniesioną na popielatéj, stalowego koloru. Pas do niéj, składał się ze starożytnych medalów i takież medale otaczały czarny aksamitny toczek na głowie. Inna znowu, różowa, miała białą koronkową tunikę, posianą biustami sławnych, starożytnych niewiast, wyrobionemi z kornaliny w złoto oprawnéj i połączonemi złotemi łańcuszkami. Naszyjnik do tego stroju składał się ze starożytnych ametystowych kamei, kolczyki zaś, przedstawiały głowy rzymskich cezarów wyrobione z oniksu. W ogólności, klejnoty starożytne, niezmiernie są modne; widziemy kamee na kapeluszach i innych strojach głowy, miniatury z emalji i mozajki bardzo są także używane. Suknie z długiemi ogonami noszono powszechnie na większych zebraniach, ale za to krynoliny coraz były mniejsze. Uczesania głowy przypominały mody dawnego cesarstwa. Do dawnych, wznowionych przyborów, należą także maseczki czarne, aksamitne, oszyte koronką, które osłaniają twarz od zimna. Nadmienić jednak wypada że używane są i mogą być jedynie tylko przez damy jeżdżące powozem. Inaczéj ich miejsce zastąpić muszą długie czworograniaste weloniki, które zastąpiły dawniejsze okrągłe i krótkie. Noszą bardzo kapelusze *empire*, niezarzucają jednak przeto bynajmniéj, zgrabnych kapelusików, w rodzaju *fanchon*. Suknie mają zawsze staniki gładkie i do paska, rękawy zaś obcisłe. Długie spódnice często w krótce niszczą się u dołu, aby je więc odnowić, a zarazem zmienić strój do niepoznania, część zużyta obcina się, a nadstawia, w tem miejscu, materją innego koloru dobranego stosownie i naszytą lub prążkami z czarnéj aksamitki, lub podłożonemi biało, dwoma wstawkami z czarnéj koronki. Ubranie rękawów musi być odpowiednie. Wlokące suknie używane są jedynie w salonach, na ulicach zaś muszą być podpięte krócéj, aby niedostawały do ziemi. Na zebrania wieczorne, dla młodych osób w obecnéj porze, najwięcéj używane są suknie z gładkich fularów w różnych kolorach. Młode kobiety noszą materje ciężkie, w szerokie pasy, rzuty, lub gładkie. Starsze, używają sukni jedwabnych w kolorze czarnym, fioletowym lub bronzowym. Znany magazyn pod firmą domu *Leborgne*, rachując zapewne na to, że po upłynionym karnawale nie jedno małżeństwo się sklei, przygotował kompletne wyprawy, na różne ceny, od najskromniejszych, bo poczynając od trzech tysięcy, aż do dziesięciu tysięcy franków. Tu w ogóle trzymają się naszego starego przysłowia: *według stawu grobla* i zawsze wyprawa stosuje się do posagu narzeczonéj. Życzyćby należało żeby u nas gdzie tyle zwyczajów przyjmują chętnie z obczyzny i ten naśladować chciano; ale niestety! naśladowcy chwytają za zwyczaj bez wyboru co im w oczy wpadnie, a najchętniéj to co najłatwiéj przychodzi, wszystko zaś co dobre zawsze niejakiego wymaga trudu i w tem

leży tajemnica, czemu najczęściéj złe tylko wywozimy z po za granicy kraju. Obiecałam wam sprawozdanie z karnawału, a tu widzę że natomiast zaczynam moralizować, co raczéj mówiąc o dniach wielkopostnych, przystoi! Aby więc wynagrodzić tę niestosowną dysgressję w méj korrespondencji, opowiem jeszcze o strojach z balów dworskich, które w tym roku były nader świetne. Na balu kostiumowym w Tuilleries, danym w początku zeszłego miesiąca, cesarzowa skopjowała strój Marji Antoniny, z portretu Lebrun'a. Miała pąsową aksamitną suknię, oszytą u dołu dwoma pasami soboli, szarfę do niéj z długiemi końcami, związaną z tyłu, lecz trochę na boku, włosy upudrowane, u nich trzy białe pióra spięte djamentową spinką. Sławna elegantka, o któréj już wam kiedyś wspominałam, margrabina Galiffet, przedstawiała anioła mściciela. Na rozpuszczonych jéj włosach, był kask złoty, takiż puklerz przyciskał stanik, od ramion spływały na w pół rozpuszczone skrzydła i miecz stalowy lśnił w dłoni. Dama w kostiumie Gabrielli d'Estrées, inna znów przedstawiająca damę wenecką z szesnastego wieku i Psyché, powszechną zwróciły uwagę. Śliczne były także kostiumy znane pod nazwą *fleurs animées*, to jest dwa bławatki i *róża majowa*. Także wieszczka róż (*la fée aux roses*) w sukni różowéj, gazowéj, posianéj różami *Pompadour* i w wieńcach z takichże róż okalających stan, szyję, głowę i ręce. Pomiędzy oryginalne koncepta fantazji twórców stroju, zaliczać należało, śliczną kotkę w białéj atłasowéj sukni, od stanika któréj, spadało w kształcie tuniki, kocie futro z ogonem i łapkami, na głowie zaś w kształcie czapeczki, była kocia głowa z bursztynowemi oczami. *Piękna pogoda* przedstawiona była przez damę w sukni przejrzystéj koloru zorzy, opasanéj tęczową szarfą, z koroną złotych słonecznych promieni na głowie. *Deszcz*, miał stalową przejrzystą suknię, posianą kryształowemi kroplami, na głowie zaś pomiędzy rozpuszczonemi włosami, kryształowe również, krople spływały. Za szczupłe ramy naszéj korrespondencji, aby wam opowiedzieć ubiory żydówek, kapłanek indyjskich, kupcowych kwiatów, kupcowych opłatków i t. p. więc poprzestaliśmy na najwięcéj wybitnych strojach, a teraz żegnamy was do przyszłego sprawozdania, w którem, da Bóg doczekać, już cóś o wiosennych modach powiedzieć będzie można.

M. D.

O HODOWANIU MELONÓW.

Melony potrzebują ziemi przynajmniéj rokiem pierwéj przysposobionéj, czarnéj, pulchnéj, kruchéj i tłustéj, jeżeli ziemia jest zimna, użyć można do poprawienia jéj, końskiego, gołębiego lub owczego nawozu; jeżeli zaś jest gorąca, dodać należy bydlęcéj, dobrze przegniłéj mierzwy, błota z ulic, trzęsawiska, liści zgniłych, lub darniny. Zły jest zwyczaj każdorocznie używać téj saméj ziemi do inspektów; przeciwnie powinna ona przynajmniéj przez rok na kupie wyleżeć się i odpocząć, dla nabrania nowych pożywnych własności; a ile razy się z inspektów wybiera ziemię, powinno się do niéj dodawać zgniłego gnoju dla zasilenia i parę razy przez rok przerobić.

Chcąc mieć ranne melony, należy siać w Styczniu albo w Lutym, w inspekcie oszklonym, w którym ciepło jest już dostateczne. Zasiać należy, w wazoniki cztero calowe w ziemię pulchną, niezbyt ugniecioną, po dwa lub trzy ziarnka melonów, lub kantalupów wczesnych; a zakopawszy wazoniki w inspekcie po wręby, trzymać przykryte oknami, a nawet matami, do-

póki wschodzić nie zaczną. Gdy pokażą się pierwsze listki, przyzwyczajać do światła stopniami, uchylając maty, a późniéj zupełnie je odjąć, przykrywając tylko na noc lub w czasie mrozu. Późniéj stopniowo przyzwyczajać do powietrza, lecz ostrożnie, aby zimno nie zachodziło, lecz zważać także i na to aby nie zbyt cienko rosły. Jeżeli by okna były spocone, z których spadając woda kroplami mogłaby pognoić flance, dobrze jest w dniu ciepłym, okna poobcierać, późniéj przedłużać takie staranie, utrzymując jednostajną temperaturę, aż póki rośliny będą miały po cztery liście oprócz nasiennych, wtenczas uszczknąć wierzchołek, aby z łodygi puściły boczne gałęzie, a jeżeli w wazonie wszystkie ziarna zeszły, najmocniejszy flanc zostawić a inne wyciąć.

W kilka dni, gdy rany zaschną, przesadzić flance do innych wazonów i przenieść do cieplejszego inspektu, lub zasadzać już na miejsce, gdzie rość mają w inspekcie nowo przygotowanym, (kto ma trudność o wazony, może flance wyhodować, w podobny sposób, wprost w inspekcie.) Aby zasadzić flance w inspekt, w którym mają już pozostać do wydania owocu, zrobić należy dwie dziury w ziemi, pod każdém oknem, jedną wyżej, drugą niżej, z uwagą. aby te były pod szybami, nie zaś pod szprosami, i do tych dziur młode flance, wydobyte z wazonów, zasadzają się głębiej, to jest aż pod linie nasienne; przesadzając je należy ziemię z wazonów cokolwiek poruszyć, aby korzonki swobodniéj dostały się do świeżéj w inspekcie. Jeżeli się przesadza, prosto z gruntu, należy przenosić je z nienaruszoną ziemią około korzeni, i dla tego, kilku godzinami pierwéj flance powinny być obficie polane. Chcąc mieć piękne owoce, nie należy pod jedno okno zasadzać więcéj jak jeden flanc, gdyż melony nie lubią gęstego sadzenia; po przesadzeniu, jeżeli inspekt wilgotny, nie wiele polewać, ale tylko tyle, aby się ziemia około korzeni obcisnęła. W miarę wzrostu, łodygi obsypywać, ażeby potém miał inspekt najmniéj dwanaście cali ziemi.

Kiedy nowe, boczne gałęzie (czyli sznury), wyrosną i będą miały po cztery liście, znowu uszczknąć wierzchołki, potém, gdy gałęzie wyrosną, zostawić przy każdym krzaku cztery lub pięć najzdrowszych, najsilniejszychj i dobrze w liście zaopatrzonych, a resztę odciąć; wszystkie zaś z późniéwyrosłych gałązek, cienkie, słabe, wybujałe, płaskie, czworoboczne, nie mające liści ani zawiązków owocowych, oraz drobne około samego pnia macierzystego, słowem wszystkie nieużyteczne wycinać, zostawując tylko silne, a te porządnie rozkładać, aby się nie plątały, i aby inspekt był równo pokryty. Jeżeliby gałęzie zbyt pędziły we wzroście, można je przytłumić, rozkładając kręto, przez co utrudnia się krążenie soków.

(Dokończenie nastąpi).

J. Poznański,
Ogrodnik z zakładu braci Hozer.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Kartofle a l'ordre du jour.

Ugotuj kartofle prawie bez wody, w garnku mokrą ścierką okrytym; ugotowane osusz przed ogniem i przefasuj przez sito. Do 2 funtów takich kartofli dodaj ½ funta mąki pszennéj, ½ funta masła, pieprzu, soli, 6 żółtek, wymieszaj dobrze trąc w donicy. Nastepnie dodaj pianę z 3ch białek, rób gałki opsypując je bułką i smaż w maśle lub smalcu. Do takich kartofli podać można masło serdelowe lub rakowe.



Lamoureux Imp. r. Lacépède 38, Paris Ad. Goubaud Ed. Paris

KÓŁKO DOMOWE.

Kwiecień 1866.